



LEIGH MICHAELS



***Nie chcę mieć
dziecka***

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Korzystając z pierwszego ładnego popołudnia wiosny, Lindsay Gardner szeroko otworzyła drzwi swego butik. Do wnętrza wdarło się rześkie powietrze i rozwiało intensywny bukiet zapachów sprzedawanych tu pachnideł i ziół. Sklep Lindsay nosił bardzo odpowiednią nazwę - „Bukiet”.

Lindsay wciągnęła z rozkoszą świeże powietrze i chociaż miała wielką ochotę zamknąć butik na cztery spusty i powagarować w pobliskim parku, musiała jeszcze trochę popracować, bowiem pozostała jej do odpakowania i sprawdzenia dostarczona dziś porcelana, którą zamówiła na zlecenie Kathy Russel, świeżo upieczonej mężatki, wyposażającej nowe mieszkanie. Trzeba było także zmienić witrynę, przejrzeć ostatnio nadesłane katalogi hurtowni i już teraz wybrać towar na ożywiony okres handlu przed wydawałoby się dość odległymi, tegorocznymi świętami Bożego Narodzenia.

No cóż, chwilowo musi jej wystarczyć ten świeży powiew i nadzieja, że w najbliższą niedzielę będzie dość ciepło, by mogła spełnić marzenie o wiosennym spacerze po zielonym kobiercu trawy.

Kiedy drzwi były otwarte, milczał dzwonek, który normalnie sygnalizował wejście klienta. Lindsay była tak zajęta przeglądaniem dostarczonego serwisu, że odwróciła głowę dopiero po cichym chrząknięciu i nieśmiałym „przepraszam”.

- To ja bardzo przepraszam. Nie słyszałam pani wejścia... - Lindsay wstała. - Pani Harrison, prawda? Znamy się z widzenia. Czym mogę służyć?

Kobieta, wyraźnie zadowolona, że Lindsay zapamiętała jej nazwisko, postawiła na ladzie wypchaną torbę. - Podobno przyjmuje pani w komis wyroby chałupnicze...?

- Czasami - odparła z ostrożną rezerwą Lindsay. - Jeśli mam w sklepie miejsce. - Była to półprawda, łatwiejsza do przełknięcia niż brutalna informacja, że większość proponowanych wyrobów chałupniczych nie odpowiada standardowi sklepu. - Co pani produkuje? - spytała.

- To nie ja, ale moja córka. Ona pracuje w zakładach pani ojca. A to zrobiła dla przyjemności. - Pani Harrison wyjęła z torby wełnianą narzutę na łóżko i położyła na ladzie. - Ale teraz, kiedy mówi się o zamknięciu fabryki, córka sobie pomyślała, że może do czasu znalezienia innej pracy, będzie mogła zarobić takimi właśnie rzeczami...

A więc już się rodzą plotki na temat zamknięcia fabryki Armentrout, zatroskała się Lindsay. Wiedziała o trudnościach, w jakich znalazł się ojciec, ale zamknięcie fabryki...? I wiedziała też, że ojciec usiłuje wobec pracowników zachować pozory normalności. Sądzi, że trudności są przejściowe.

- Fabryka nie będzie zamknięta - odparła twardo. - Może nastąpi pewna reorganizacja...

- Właśnie tak mówią - przerwała jej pani Harrison. - Och, kiedy pojawili się jacyś obcy, którzy mają zdecydować, co i jak robić, wszyscy wiedzą, że przyjdą złe wieści. Ja nie mam, broń Boże żadnej pretensji do pani ojca. Wiem, że zrobił wszystko, co mógł, ale przy ogólnej sytuacji na rynku... Wolał sprowadzić tych... jak ich tam nazywają... ekspertów. A wiadomo, co tacy powiedzą. Wyrzucić ludzi. - Kobieta westchnęła.

No cóż, nie było sensu nadal przekonywać pani Harrison. Ona wiedziała swoje.

- Jestem pewna, że będzie pani mile zdziwiona, gdy eksperci wydadzą opinię. - Lindsay usiłowała nadać swemu głosowi beztrioskie brzmienie. Przesunęła dłonią po narzucie. Wełna była mięciutka, robota doskonała, choć barwy raziły wzrok: jaskrawe żółto-zielone pasy na równie jaskrawym purpurowym tle.

- Czy to szydełkowa robota? - spytała.

- O nie! To jest szycie i wiązanie - wyjaśniła pani Harrison. - Taffy mówi, że może wykonać tego tyle, ile tylko pani chce.

Jedna narzuta w tych barwach to i tak o jedną za dużo, pomyślała Lindsay.

- Jeśli pani córka byłaby gotowa robić na zamówienie... w kolorach, które życzyliby sobie klienci, by pasowały do wystroju ich mieszkania...

- Dlaczego nie! - odparła pani Harrison. - A co jej tam zależy na kolorach.

Widać to, pomyślała Lindsay. Może owa Taffy jest daltonistką?

- No to niech jej pani powie, żeby do mnie wpadła. Omówimy wszystkie szczegóły i cenę...

- Doskonale! - Pani Harrison rozpromieniła się. - A tę niech pani zatrzyma na wzór i zacznie już przyjmować zamówienia.

Po wyjściu pani Harrison Lindsay złożyła narzutę i schowała ją w magazynku na zapleczu. Najpierw trzeba omówić warunki, a dopiero potem pokazywać towar. A kto wie, czy te jaskrawe barwy nie przyciągną uwagi ludzi?

Wkrótce zapomniała o narzucie i pani Harrison. Zaniepokoiły ją plotki na temat fabryki ojca. Miała nawet zamiar zadzwonić do niego i zapytać, ale zrezygnowała zerknąwszy na zegarek. Dopiero dochodziła czwarta i Ben Armentrout z pewnością konferował teraz z przybyłymi tego dnia konsultantami. I przez następne kilka dni - nim zapoznają się oni z fabryką - będzie miał pełne ręce roboty.

Skończyła rozpakowywanie i sprawdzanie porcelany. Gdy ułożyła już wszystko z powrotem w kartonach, zadzwoniła do swojej przyjaciółki, Kathy, z informacją, że zamówiony serwis jest gotowy do odebrania. Następnie zajęła się sklepową witryną. Już było po dniu patrona Irlandii, świętego Patryka, i należało schować porcelanę z czterolistną koniczyną - emblematem, który tak sobie upodobali Irlandczycy. Wraz z nią poszły na zaplecze figurki rozmaitych krasnali i leśnych duszków rozstawione na pofałdowanej zielonej satynie, przywodzącej na myśl irlandzkie pastwiska.

Tak, najwyższy czas na takie udekorowanie witryny, aby zapowiadała wiosnę! Powinna być w pastelowych, wesołych barwach.

Gdy się do tego zabrała, zaczęli zaglądać klienci. Zawsze tak bywało, gdy chciała mieć chwilę spokoju. Musiała raz po raz opuszczać witrynę i stawać za ladą. Przyszła też Kathy po porcelanę.

- Nie przeszkadzaj sobie, dalej rób, co robisz - powiedziała do Lindsay. - Rozejrzę się po sklepie, bo muszę wybrać jakiś pożegnalny prezent dla jednej z moich pracownic.

Lindsay powróciła więc do czesania zmierzwionych włosów lalki. Kątem oka zauważyła mężczyznę przechodzącego na ukos jezdnię. Musiał gdzieś niedaleko zostawić samochód i szedł teraz w kierunku budynku sądu. Widziała smukłą sylwetkę o szerokich barach i długich nogach oraz ciemne włosy, ale to wystarczyło, by serce zabiło jej boleśnie, a z piersi wydobyło się głośne westchnienie.

Była zła, że ciągle jeszcze, po blisko dziewięciu latach, tak reaguje na widok mężczyzn, którzy choćby tylko trochę przypominali sylwetką i chodem jej byłego męża, Gibbsona Gardnera.

- Co ci jest, Lindsay? Zupełnie jakbyś się dusiła... - spytała zaskoczona Kathy.

- Nic mi nie jest. Naprawdę nic... Zobaczyłam tylko kogoś, kto przypomina Gibba. Poszedł przez plac w kierunku sądu. Przez chwilę myślałam, że dostanę ataku serca.

Ledwo wypowiedziała te słowa, a już ich żałowała. Bo przecież obiecała sobie, że więcej nie wypowie jego imienia. Gibb miał przestać istnieć. Nie powinna była wywoływać wrażenia, nawet u najlepszej przyjaciółki, że myślenie o nim jest stale jeszcze takie bolesne.

- To była tylko halucynacja i szybko minęła - mruknęła.

Wskazując na filigranowe puzderko w ręku Kathy, wyjaśniła: - To jest naprawdę cacko. Jedna z najładniejszych pozytywek, jakie ostatnio miałam. Wygrywa fragment Mozartowskiego koncertu. Nakręcę ci ją.

- Z ulgą wygramoliła się z witryny, gdzie było znacznie goręcej niż w butik. Rozgrzana słońcem gruba szyba spełniała rolę grzejnika.

Kathy cierpliwie wysłuchiwała melodii i stwierdziła, że to będzie idealny prezent.

- Zabieram też od razu porcelanę - dodała. - Wspaniale, że ją zdążyli przysłać przed sobotnim przyjęciem. Przyjdiesz, prawda?

- Oczywiście! - odparła Lindsay. - Ale myślałam, że w sobotę zbiera się tłumek zasługujący tylko na papierowe talerze jednorazowego użytku.

- Może i masz rację. Wobec tego wpadnę do supermarketu po steki i zrobimy sobie ucztę dziś wieczorem. To będą chrzciny nowej porcelany!

- Dobry pomysł. Poczekaaj chwilę, poszukam oryginalnego pudełka, w którym była pozytywka.

Znalazła je wśród innych opakowań pod schodami prowadzącymi do mieszkania na piętrze. Gdy pakowała puzderko, Kathy spytała:

- Czy miałaś okazję porozmawiać z ojcem na temat wycieczki mojej klasy? Pamiętasz, chciałam, aby obejrzały fabrykę? Myślę, że to bardzo zainteresuje dzieci.

Lindsay skinęła głową.

- Powiedział, że oczywiście, ale chyba dopiero pod koniec przyszłego tygodnia, bo teraz ma na głowie konsultantów, którzy właśnie przyjechali...

- Rozumiem. W takim czasie gromada trzecioklasistów pętających się między nogami... - Kathy uśmiechnęła się. - Może więc w przyszły piątek po południu? Pomożesz mi z tą sforą?

Lindsay chwilę się zastanawiała.

- Dobrze, przyjdę tam. I poproszę ojca, żeby wyznaczył przewodnika... Kathy, czy słyszałaś plotki o zamknięciu fabryki?

- O zamknięciu fabryki? Nic takiego nie słyszałam. Lindsay opowiedziała jej o wizycie pani Harrison.

- Jeśli takie plotki krążą, powinnaś wspomnieć o tym ojcu, żeby mógł zareagować i ewentualnie uspokoić pracowników - skomentowała Kathy.

Lindsay pomogła jej zanieść do samochodu kartony z porcelaną. Zamyślona wróciła do butiku. Poczula głód. Przez cały dzień była tak zajęta, że nie zrobiła sobie nawet przerwy na lunch. Stanęła w witrynie i spojrzała na ulicę okalającą centralny plac miasteczka. Wszędzie było jeszcze widać ślady minionej zimy. Chodniki pokryte były warstwą piasku, chociaż lód już stopniał. Po drugiej stronie jezdni leżały szerniałe pasma śniegu zepchniętego przez pług po ostatniej zawiei. Dopiero po kilku ciepłych dniach i paru wiosennych deszczach Elmwood będzie znowu czyste i w całej swej krasie.

Po drugiej stronie ulicy, pośrodku wielkiego trawnika dużego placu, stał dwupiętrowy budynek ustrojony w wieżycę podobną do

dekoracji na weselnym torcie. Ulice wytyczone po czterech stronach placu zabudowane były domami w wiktoriańskim stylu. Żadne inne miasto środkowo-wschodnich Stanów nie mogło poszczycić się czymś piękniejszym.

Lindsay pomyślała sobie, że całość tego handlowego centrum Elmwood wygląda trochę jak dekoracja filmowa. Zwłaszcza teraz, po odnowieniu i przywróceniu domom dawnej świetności - na parterach sklepy i biura, na piętrach mieszkania właścicieli lub dzierżawców. Ani przez chwilę nie żałowała otworzenia tu właśnie swego butik, a nie w którejś z nowoczesnych arkad centrum handlowego poza miastem.

Z zamyślenia wyrwał ją ostry dzwonek telefonu.

- Butik „Bukiet”, Czym mogę służyć?
- Jak się masz, kochanie?
- Cześć, tato! Jak tam konsultanci?
- Masz w tej chwili jakichś klientów?
- Nie, jestem sama. - Zafrasowała się.

W głosie Bena Armentrouta wyczuwała zdenerwowanie.

Natychmiast pomyślała o plotkach dotyczących fabryki. A może po prostu był zły na ekspertów firmy konsultingowej.

- Chciałbym z tobą porozmawiać, kochanie. Czy doszło coś do ciebie na temat Gibba?

Przedziwne pytanie! Obrzuciła spojrzeniem plac. Wśród przechodniów nie zauważyła mężczyzny, którego widziała przedtem. Zresztą dlaczego miałby tu jeszcze być? I z pewnością to nie był Gibb.

Ot, po prostu przedziwny przeblysk tej samej myśli, która przyszła do głowy także ojcu, który być może też zauważył tego mężczyznę. W przeszłości ojciec i córka wiele razy myśleli jednocześnie o tym samym. Wierzyła święcie w podobne zjawiska.

A może Gibb jednak tu się pojawił? Może wiadomość o tym dotarła do ojca? Jest przecież możliwe, że ktoś, kto znał Bena i Gibba, zadzwonił do ojca, żeby mu powiedzieć, iż jego były zięć uzyskał awans albo się ponownie ożenił. Co ja też wymyślam, skarciła się w duchu, ale jednocześnie poczuła lęk.

Rozejściu się Lindsay i Gibba przed dziewięciu laty towarzyszyły ostre słowa i gorzkie żale. I od tego czasu ani razu się nie widzieli. Więc dlaczego miałyby czuć lęk w związku z możliwością usłyszenia jakiejś wiadomości na temat Gibba? Choćby niedobrej. Co prawda fakt, że był on kiedyś ważną osobą w jej życiu, usprawiedliwiał pewne podniecenie, a nawet niepokój. Czułaby się podobnie, gdyby dotarła do niej zła wiadomość na temat na przykład któregoś z przyjaciółek.

- Nic do doszło, nic nie wiem, tato. O co chodzi?

- Gibb wrócił. - Ben Armentrout westchnął.

Poczuła nagłą słabość w nogach i musiała się wesprzeć o ladę.

Gibbson Gardner był w Elmwood!

W głowie miała zamęt, robiło się jej to gorąco, to zimno, twarz paliła. Z pewnością dostała wypieków. I dygotała. Opadła ciężko na krzesło, ściskając kurczowo słuchawkę bezprzewodowego telefonu.

Przez pierwszy rok po rozwodzie bała się powrotu Gibba. Od czasu do czasu miała senne koszmary, w których zmagala się z myślą, co zrobić, jeśli on wróci. Ale już od dłuższego czasu była pewna, że nigdy nie wróci, ponieważ wszystkie uczucia, jakie mógł do niej żywić, spłonęły z pewnością w żarze ostatniej kłótni - zostały unicestwione podobnie jak jej miłość do niego.

I właśnie dzięki tej pewności Lindsay odzyskała wreszcie równowagę ducha i mogła w końcu odbudować własne życie. Nawet my przebaczyła, chociaż wiedziała, że nigdy go nie zrozumie.

I teraz po dziewięciu latach...

- Jesteś pewien, że wrócił? - spytała ojca.

- Spotkałem się z nim - odparł.

- Przyszedł do fabryki? Czego chciał? Po co przyjechał?

- O tym porozmawiamy później. Dzwonię teraz, aby cię uprzedzić, ponieważ pytał o ciebie. Chciał wiedzieć, czy jeszcze tu mieszkasz. Nie wiem, czy to była tylko ciekawość, czy też zamierza się z tobą zobaczyć, ale nie chciałem ukrywać prawdy, więc...

- Chyba mu nie powiedziałaś... - Przerwała ojcu i sama nagle urwała, gdyż poczuła jakby ukłucie na karku.

Tak odczuwa się przeszywające spojrzenie. Skoczyła na równe nogi i obróciła odruchowo głowę w stronę drzwi. Stał w nich Gibbson Gardner.

Niedbale oparł się jedną ręką o framugę, a drugą trzymał w kieszeni spodni koloru khaki. Przez ramię miał przerzuconą granatową marynarską sportową kurtkę. Biała koszula była rozpięta

pod szyją... Gibb! Przybrawszy postawę odpoczywającego tancerza, przyglądał się jej spod półprzymkniętych powiek.

Lindsay zwilżyła językiem wyschnięte wargi.

- A więc to byłeś ty! - wyszeptała ledwie świadoma, że coś mówi.

- Czegóż to ojciec nie powinien mi powiedzieć? - spytał Gibb.

Lindsay przez ułamek sekundy rozważała możliwość ucieczki. Mogłaby pobiec na górę i zamknąć się w mieszkaniu...

Ale byłoby to bardzo głupie. I nie udałoby się. Mimo pozorów powolności w ruchach, Gibb był zwinny i czujny jak biegacz oczekujący strzału startera. A zresztą, co by zyskała przez ucieczkę? Trzeba zostać na miejscu i stawić czoło sytuacji. Poza tym, co go obchodzi, jak ułożyła sobie życie? Przed dziewięciu laty zrzekł się prawa uczestniczenia w nim. Odszedł od niej.

Wyprostowała ramiona i dumnie uniosła podbródek.

- Cześć, Gibb. Wcale się nie zmieniłeś. Czy jesteś równie nieprzyjemny, jak byłeś? I równie podejrzliwy?

Gibb się jednak zmienił. Miał teraz trzydzieści pięć lat i chociaż pozostał szczupły i muskularny, wokół oczu pojawiły mu się zmarszczki, a na skroniach srebrne nitki. Nadmierna powaga, która tak nienaturalnie wyglądała na twarzy dwudziestokilkulatka, przekształciła się w pewność siebie, tak jakby sprawdził się w życiu i doszedł do wniosku, że odpowiada mu to, kim jest. I że nie musi się więcej starać.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie - zauważył.

- Nie jestem ci winna żadnych wyjaśnień. Zapomniałeś? A może mam wyciągnąć orzeczenie rozwodowe, żebyś sobie przeczytał? -

Lindsay przeszła do ofensywy: - Po co tu przyszedłeś?

- Twój ojciec mi powiedział, gdzie cię mogę znaleźć.

- I od razu przybiegłeś? Bardzo to miło z twojej strony, że mając wolną chwilę, postanowiłeś się przywitać - powiedziała z ironią w głosie. - Chociaż zupełnie nie wiem, dlaczego po dziewięciu latach miałoby mnie interesować spotkanie z tobą.

Nie wyobrażała sobie, że jego oczy mogą jeszcze bardziej pociemnieć.

- Nie ma powodu, by miało cię to interesować - odparł lodowatym tonem. - Nie pojawiłem się w celu odegrania sceny radosnego pojednania.

- Odczuwam z tego powodu wielką ulgę. Więc czego chcesz, Gibb? A może wszystko, czego chcesz, omówiłeś już z tatą i teraz przyszedłeś tylko się pożegnać przed opuszczeniem miasta raz na zawsze?

- Przez „czego chcę” masz oczywiście na myśli pieniądze?

Oczekiwała, że jej insynuacje wywołają jego gniew, tymczasem zadał to pytanie niemal dobrodusznie.

- Tego nie powiedziałam - odparła obojętnie, wzruszając ramionami.

- Ale było w podtekście. Czy papa nadal wyciąga cię ze wszystkich opresji? - zapytał.

Dotknięta do żywego, odpowiedziała jednak spokojnie:

- Na twoim miejscu nie obrzucałabym innych kamieniami. Ojciec być może zapłacił ci, żebyś zniknął z mojego życia, ale pieniądze przyjąłeś ty.

- I dlatego szantażuję jego lub ciebie, żeby teraz dostać więcej? Tak uważasz?

- Nie widzę innego powodu zajmowania mi czasu.

- Jest inny powód. Przyszedłem, by ci powiedzieć, że przyjechałem. Nie chciałem, abyś dowiedziała się tego z jakichś plotek.

- No więc, skoro wykonałeś ten szarmancki gest... - Znacząco spojrzała na zegarek.

Gibb nie spuszczał wzroku z jej twarzy. Czuła to, chociaż na niego nie patrzyła. Spytał przyciszonym, ale wcale nie łagodniejszym głosem:

- Co ty chcesz przede mną ukryć? Przyznaj się, Lindsay.

- Niczego nie chcę ukryć. Ani przed tobą, ani przed nikim innym.

- Sam napastliwy ton mnie nie przekona. Czego miał mi nie mówić ojciec?

Tak, Gibbson się zmienił. Był nadal uparty i narzucający swą wolę, ale i spokojniejszy, mniej dramatyzujący, bardziej stanowczy.

Gdyby tylko wiedziała, co ojciec mu powiedział! No cóż, trzeba więc kłamać. Spojrzała Gibbowi prosto w oczy i wyrecytowała:

- Nie chciałam, żebyś wiedział, gdzie jestem. Nie chciałam twojej wizyty, ale skoro przyszedłeś, to mogę skorzystać z okazji i

dowiedzieć się tego i owego. Na przykład, jak ci się powodzi, czy jesteś szczęśliwy i tak dalej. Przez dziewięć lat wiele musiało się w twoim życiu wydarzyć.

- Powodzi mi się dobrze, zdrowie dopisuje, ze szczęśliwością różnie bywa. Będę bardzo rad, mogąc ci o wszystkim opowiedzieć... jeśli masz czas. Chyba masz. Na drzwiach jest napisane, że sklep będzie otwarty do piątej, jeszcze prawie godzinę, klienci nie stoją w kolejce...

Lindsay ugryzła się w język. Jest sama sobie winna. Sama wprowadziła do rozmowy kpiący, złośliwy ton, a on jej odpłaca tym samym.

- Mam trochę czasu - odparła z powagą.

A może nie powinna się zgadzać na dalszą rozmowę? W każdym razie nie będzie sprawiała wrażenia zasluchanej i nie będzie zbyt w niego wpatrzona. Poszła w kierunku kasy.

- Ładny sklep - powiedział, idąc za nią.

- Wydajesz się zdziwiony.

- Wcale nie. Wiem, że wszystko, czego się podejmujesz, musi być świetnie zrobione.

To nie był komplement. Wyczuła ton ironii. Szczególnie, gdy Gibb dodał:

- Zawsze też żądałaś najlepszego.

Już miała odpowiedzieć, że żałuje, iż nie znalazła lepszego męża, ale znowu ugryzła się w język.

- No i ten sklep pozwala ci zapełnić sobie pusty czas - ciągnął Gibb.

- O tak! - zgodziła się. - To jest naprawdę wspaniałe hobby. Znacznie lepsze, niż robienie na drutach. - Z szufladki kasy wyciągnęła plik rachunków i ignorując Gibba, zaczęła je podliczać.

- Hobby to może jest, ale interes musi iść marnie, skoro nie masz pracownika, który by za ciebie podliczał, i drugiego do stania za ladą.

- Mam wielu pracowników. Masz po prostu wyjątkowe szczęście, że zastałeś mnie samą.

Tuż przed butikiem zatrzymał się samochód i po chwili trzasnęły głośno drzwiczki. Lindsay uniosła wzrok i serce jej zabiło. Chłopiec, który wyszedł z samochodu, przebiegł parę kroków przez chodnik i jak bomba wpadł do sklepu. Miał zmierzwione blond włosy i krzywo zapiętą dzinsową kurtkę. Zrzucił z pleców tornister i stanął przed kasą.

- Mamo, czy mogę iść na deskorolki z Joshem i potem zjeść obiad u niego? Jego mama mówi, że mogę, i że ona mnie odwiezie. Ona czeka na ulicy, więc, czy mogę, mamo?

- Mam klienta, Beep - powiedziała Lindsay zmieszana.

Chłopiec rozejrzał się po sklepie, dostrzegł Gibba i grzecznie powiedział:

- Bardzo pana przepraszam, sir. Przepraszam, że przerwałem panu zakupy.

Lindsay z aprobatą skinęła głową:

- Możesz iść z Joshem, Beep.

Nim chłopiec zdołał umknąć, Gibb zbliżył się do kasy. Jego zimne poprzednio spojrzenie teraz stało się lodowate.

- A więc o to ci chodziło. Nie chciałaś, żebym wiedział, że masz syna - rzucił oskarżycielskim tonem.

Lindsay przesunęła językiem po suchych wargach.

- Tak, mam syna. I nie mam zamiaru więcej o tym mówić. Szczególnie z tobą. To nie twoja sprawa. Beep jest...

Chłopiec przerzucał wzrok z jednego na drugie, mało rozumiejąc, o co chodzi.

- Beep? Cóż to znowu za imię? - spytał Gibb.

Chłopiec się skrzywił, ale odpowiedział grzecznie z godnością:

- Mam na imię Benjamin... a na drugie Patryk. Be, pe, Beep. Jak byłem bardzo mały, to nie mogłem moich inicjałów dobrze wymówić. Beep. Teraz wszyscy tak na mnie wołają. A jak pan się nazywa?

Lindsay wstrzymała oddech. Trwało chyba wieczność, nim Gibb odpowiedział. Najwidoczniej się zastanawiał. Przecież nie lubił dzieci, nie chciał mieć dzieci, może zignoruje pytanie albo coś burknie.

- Jestem Gibb Gardner, miło mi ciebie poznać, Beep.

Lindsay odetchnęła.

Chłopiec przyjął podaną mu rękę.

- A mnie miło poznać pana. - Uśmiechnął się. - Jakie to śmieszne. Ja, pan i mama mamy to samo nazwisko.

Gibb zmarszczył brwi. A więc jego była żona zachowała nazwisko Gardner i dała je synowi? Obserwująca tę scenę Lindsay

odniosła wrażenie, jakby to było wielkim zaskoczeniem dla jej eks-męża. Niemal szokiem.

- Więc czy mogę iść, mamó? - zapytał Beep.

Lindsay tylko skinęła głową, nie miała wprost siły otworzyć ust.

Beep rzucił tornister na ladę i podniecony, bez słowa pożegnania, wybiegł do oczekującego nań samochodu, nieświadomy naelektryzowanej atmosfery, jaką pozostawił.

W butiku zrobiło się jakby duszno. Lindsay z trudem oddychała i zerkając na Gibba, miała wrażenie, że jego twarz nieco poszarzała.

Minęła minuta absolutnego milczenia, nim Gibb zapytał:

- Dlaczego nie wróciłaś do panińskiego nazwiska?

Wzruszyła ramionami

- Po prostu Gardner bardziej mi odpowiadało. Nie lubię nazwiska Armentrout. Kto by je lubił. - Wzięła z kasy plik banknotów i schowała do torebki. - Myślałam, że o tym wiesz.

- Twój ojciec nic mi nie powiedział.

- Pewno nie wspomniał też o wielu innych rzeczach, które nie są twoją sprawą.

- Jak na przykład o twoim synu...

- Właśnie, Beep należy do kategorii nie twoich spraw.

- Ile ma lat?

Zawahala się, nim odpowiedziała:

- Osiem.

- Bardzo ciekawe. Spodziewam się, że zaraz mi powiesz, iż jest on również moim synem.

- Ani mi to w głowie. Dopiero co skończył osiem lat. Dwa miesiące temu. - Lindsay miała wrażenie, że Gibb przeprowadza w głowie rachunek. - Nic już nie pamiętasz, Gibb? Rozwiodłam się z tobą właściwie tylko dlatego, że tak byłeś przeciwny idei posiadania dzieci, iż nawet nie chciałeś o tym mówić, przedyskutować... Po co miałabym tracić czas na przekonywanie cię, że Beep to twój syn? Żebyś pomyślał, że chodzi o alimenty na jego wychowanie? - Tak jakby była jakakolwiek nadzieja na wyciągnięcie z Gibba choćby jednego centa, pomyślała z ironią.

Kiedy wreszcie po dłuższej ciszy Gibb przemówił, w jego głosie nie było ani ulgi, ani złości, a tylko jakby obojętne stwierdzenie faktu:

- Po pozbyciu się mnie nie zajęło ci dużo czasu wyszukanie sobie gacha.

- To nie był żaden gach - wyszeptała.

- Jeszcze jaki! Spłodził szczeniaka i umknął.

- To ja nie chciałam, żeby się tu dłużej kręcił. Po gorzkim doświadczeniu z tobą nie miałam ochoty na powtórne małżeństwo.

- Przynajmniej w tym jednym się zgadzamy. Ja też nie.

Najwidoczniej ani ja, ani ty nie jesteśmy stworzeni do małżeńskiego stanu. Ale po co ci było dziecko?

- Pragnęłam dziecka. Jestem bardzo szczęśliwa, mając Beepa.

- Raczej: mając żywą zabawkę. Po prostu żywą zabawkę.

- Nie mam zamiaru usprawiedliwiać się przed tobą z moich postępów.

Gibb wydawał się nieco wytrącony z równowagi. Chodził wzdłuż sklepowych półek i machinalnie brał do ręki to ten, to ów przedmiot.

W pewnej chwili zapytał:

- Czy ja go znam? Tego ojca twojego syna?

Pytanie, które miało być zadane mimochodem, ujawniało głębokie przejęcie.

- To jest ostatnie pytanie, na które ci odpowiem: chyba go znasz, może ci gdzieś mignął. I jeszcze raz ci przypominam, że twoje prawo zadawania podobnych pytań skończyło się z chwilą otrzymania rozwodu. A teraz musisz mi wybaczyć, ale mam wiele spraw do załatwienia. Nasza rozmowa miała interesujące momenty, jednak nie będziemy jej repetować. Nie musisz tu przychodzić przed wyjazdem z miasta.

Gibb oparł się o sklepową ladę.

- A skąd owo przypuszczenie, że zamierzam dokądś wyjeżdżać?

Lindsay nieco się zmieszała.

- Z tego, co powiedział ojciec, wnioskowałam...

- Widzę, że Ben Armentrout nie wtajemnicza swojej córki w wiele spraw...

- Mówi mi wszystko.

- Niezupełnie. Nie powiedział ci, na przykład, że przyjechałem na parę miesięcy. A może na jeszcze dłużej.

Zmartwiała.

- Bo widzisz, droga Lindsay - ciągnął - jestem konsultantem twojego ojca. Mam rozwiązać szereg problemów fabryki. Musisz się więc przyzwyczaić do mojej częstej obecności w Elmwood...

ROZDZIAŁ DRUGI

- Jesteś w zespole doradców? - wykrztusiła z siebie.

- Niezupełnie. To ja jestem zespołem. Moja firma Triangle nie uznaje zasad zbiorowego doradztwa. Nie ma głosowania nad wnioskami...

- Nie mogę uwierzyć, że...

- Wiem, wiem - przerwał jej. - Nie możesz uwierzyć, że niegdyś zastępca kierownika w fabryce twego ojca powróci po blisko dziesięciu latach, żeby pomóc uratować zakład. To chciałaś powiedzieć?

- Coś w tym rodzaju - przyznała. - Co ty masz wspólnego z Triangle? Ojciec kiedyś wspominał, że jest to firma o ogólnokrajowej reputacji...

- Może im nakłamałem, jeśli idzie o moje kwalifikacje... - kwaśno się uśmiechnął.

- Co? Ooo, przepraszam, nie chciałam cię urazić.

- Nie podejrzewam cię o podobne intencje - odparł z ironią. - Dziwne, że ojciec nic ci nie powiedział, kiedy do ciebie zadzwonił.

- Zjawileś się, nim zdążył powiedzieć mi cokolwiek więcej. Ale nie rozumiem, dlaczego nie wspomniał mi o tym przedtem, kiedy podpisywał kontrakt z Triangle...

- Nie miał pojęcia, że mam z nimi cokolwiek wspólnego być może zrezygnowałby z wezwania Triangle na pomoc. Do ostatniego weekendu nie wiedział, że to właśnie ja przyjadę.

- I nie sprawiasz wrażenia osoby zachwyconej otrzymaniem takiego zadania.

- Miewałem lepsze - odparł sucho. - Ale moja praca wymaga różnych poświęceń... No cóż, jestem pewien, że wkrótce znów się spotkamy. To jest niestety małe miasteczko. A więc do zobaczenia...

Wyszedł, lekko skinąwszy głową.

Lindsay poszła na zaplecze i usiadła na jakiejś skrzynce. Opuściły ją wszystkie siły. Była rozdygotana po doznanym szoku. Gdy po kilku minutach zebrała myśli, doszła do wniosku, że poradziła sobie nieźle z Gibbem. I dobrze, że gdy przyszedł, była sama w sklepie. Poszłoby jej znacznie gorzej w miejscu publicznym, przy ludziach. Teraz ma już za sobą najtrudniejsze chwile. Oczywiście będzie natykała się na Gibba w przyszłości, ale reguły gry zostały ustalone podczas tej pierwszej rozmowy. I utrzymany dystans.

Gdy nieco po szóstej matka Josha przywiozła Beepę, Lindsay była już prawie zupełnie spokojna.

- Musimy się pośpieszyć - zapowiedziała Lindsay synowi. - Za piętnaście minut masz próbę chóru.

- Zdążymy. Świetnie się bawiłem. Tylko raz upadłem, a potem mama Josha zabrała nas na hamburgera z frytkami.

- Hamburger z frytkami! - prychnęła Lindsay. - Najprostsza droga do serca mężczyzny. Graliście dziś w piłkę nożną?

- Ćwiczyliśmy podania na sali, bo trener powiedział, że boisko jest podmokłe.

- Miło, że pomyślał o biednych matkach, które musiałyby pracować spodnie i oskrobywać błoto z butów.

- On nie dlatego tak postanowił. Powiedział, że zniszczylibyśmy trawę.

- Omyliłam się, on wcale nie jest miły. No, bierz tornister i zostaw go na zapleczu.

- Kto to był ten pan? - spytał Beep, spełniając polecenie.

- Będzie pomagał dziadkowi w fabryce.

- A po co przyszedł do ciebie?

- Kiedyś go znałam i chciał się przywitać.

- Bo wiesz, co ja sobie pomyślałam, mamo, kiedy mi powiedział, jak się nazywa? Że to mój tata.

- Bardzo wielu ludzi nosi nazwisko Gardner.

- Ale ja tak sobie pomyślałam. Ty mi nigdy nie mówisz o tacie...

Jeszcze tylko tego brakowało, pomyślała. Co za dzień! Beep jej nie da teraz spokoju.

- Nie wiedziałam, że chcesz coś więcej wiedzieć - odpowiedziała, jak mogła najłagodniej.

- O tak, chcę, ale ostatnio już cię nie pytam, bo ty jesteś wtedy taka smutna... a dziadek też mi powiedział, żebym cię nie nudził tymi pytaniami o ojca.

Lindsay zabolęło serce. Tak by chciała, żeby jej syn przychodził do niej ze wszystkimi problemami i pytaniami, ale co ona ma robić, kiedy pytania są zbyt trudne, a prawda tak przykra?

Nim zdołała wymyślić jakąś odpowiedź, Beep zmienił nagle temat. Wskazując palcem na jaskrawą narzutę pani Harrison, wykrzyknął:

- Jakie to ładne! Co to jest, mammo?

- Widzę, że będę musiała zabrać cię do okulisty - odparła z humorem i przykra chwila minęła.

Jednakże zaczęła rozmyślać o tym wszystkim trzy godziny później, kiedy otulała Beepa w łóżeczku.

- Mam, nadzieję, że odrobiłeś wszystkie lekcje - powiedziała, gasząc światło.

- Tak, mammo, dobranoc.

Lindsay usiadła na skraju łóżka. Światło lamp na parkingu za budynkiem pozwalało dostrzec nawet piegi na nosku chłopca.

Pogłaskała go po główce.

- Dziadek nie miał racji, kiedy ci powiedział, żebyś mnie nie zanudzał pytaniami - powiedziała cicho. - Ty mnie nigdy niczym nie zanudzasz. Zawsze możesz o wszystko pytać.

- Nawet jeśli się potem robisz smutna?

- Tak, nawet wtedy. Mogę być smutna, ale nigdy nie będę zła, jeśli zapytasz o ojca albo o cokolwiek innego.

- Mamo... - zaczął nieśmiało Beep, a Lindsay zeszywniała w oczekiwaniu najgorszego. - Czy mój tata potrafiłby złożyć latawca?

Odczuła ulgę i miała ochotę wybuchnąć śmiechem.

- Pojęcia nie mam, kochanie. Nigdy nie widziałam, żeby to robił. Ale to nie oznacza, że nie potrafiłby.

- Naprawdę...? Dobranoc, mamo. Bardzo cię Kocham. Nim wyszła z pokoju, mały już spał.

Z kubkiem gorącej herbaty usiadła do przeglądania katalogów. W sporym saloniku paliła się tylko jedna lampa, stojąca obok ulubionego fotela. Na placu przed sądem z rzadka przejeżdżały o tej porze samochody, w mieszkaniu panowała cisza. Z wyjątkiem skłębionych pod czaszką myśli nic jej nie przeszkadzało przerzucać kartki z ofertami hurtowni.

Czy była dobrą matką? Z pewnością tak.

Beepowi nic nie brakowało. Miał czas wypełniony nauką i chłopięcymi zajęciami. Lindsay wprowadziła go w arkana baseballu, pokazała, jak należy obcować z naturą, zapisała na treningi w piłce nożnej. Innymi słowy robiła to wszystko, o czym zwykle myśli ojciec. Nie doceniła jednak inteligencji Beepa. Ponieważ od tak dawna nie pytał o ojca, założyła, że temat go nie interesuje, że po prostu przestał o nim myśleć. Teraz dopiero uświadomiła sobie, że Beep wchodzi w wiek, kiedy dzieci chcą wszystko wiedzieć o własnych rodzinach. Zwłaszcza że jego koledzy mieli ojców.

Jakże wszystko wydawało się łatwe przed ośmiu laty, kiedy postanowiła sama wychowywać dziecko, a jak może okazać się trudne, nim skończy to odpowiedzialne zadanie.

Gibb zaakceptował proponowane mu mieszkanie, tylko pobieżnie się po nim rozejrzawszy. Było bardziej luksusowe, niż oferowane mu pokoje podczas podobnych wyjazdów. W biurze agencji wynajmu nieruchomości usłyszał, że w Elmwood nie ma właściwie umeblowanych mieszkań do wynajęcia. Miał jednak szczęście, bo właścicielka agencji obiecała mu, że zadzwoni do swoich rodziców, którzy przebywali w długiej podróży dookoła świata i zaproponuje im podnajęcie ich apartamentu na kilka miesięcy. Zgodzili się, a Gibb zaakceptował warunki wynajmu. Postanowił, że chociaż raz pomieszka sobie w luksusie, bo mieszkanie wydawało mu się zaiste luksusowe po latach tułania się po hotelowych pokojach lub skromnych mieszkaniach, wypełnionych jakimiś odrzutami mebli. Dopiero kiedy ustawiał swój komputer na stole pod oknem, zorientował się, że ma widok na wejście do butików „Bukiet”.

Specjalnie się tym nie przejął ani mu na tym nie zależało. Wiedział, że przez następne miesiące będzie miał ważniejsze sprawy na głowie, niż obserwowanie poczynąń Lindsay.

Zasiadł przed komputerem i rozwinął rulon wydruków przedstawiających stan finansów fabryki Armentrout. Niegdyś były to zakłady przodujące w produkcji wszelkiego rodzaju akumulatorów. Ale teraz zaczęły się kłopoty. Nic dziwnego, że Ben jest poważnie

zaniepokojony - przedsiębiorstwo odczuwało trudności finansowe, przepadła gdzieś płynność kapitałowa.

Gibb, pogrążony w myślach; położył głowę na oparciu fotela i końcem wiecznego pióra postukiwał w przednie zęby. Czuł się nieswojo w panującej w domu i za oknami ciszy. Ostatnio miał sporo zleceń konsultacyjnych w dużych miastach, gdzie zawsze panował zgiełk. Będzie musiał przyzwyczać się do cichego, sennego Elmwood.

Wstał, podszedł do półki z płytami kompaktowymi i wybrał kilka z nich. Ciszę pokoju wypełniły pierwsze takty Mozartowskiej symfonii. Usadawiał się już ponownie w fotelu, kiedy usłyszał głośne trzaśnięcie drzwi samochodu. Zerknął za okno i dostrzegł drobnutką postać dziecka zmierzającą do drzwi „Bukietu”. Sklep był zamknięty, ale paliło się w nim światło. Po chwili Lindsay otworzyła z klucza drzwi i wpuściła chłopca.

Czy w panującej ciszy zadziałała jego wyobraźnia, czy też rzeczywiście usłyszał kobiecy głos? Kiedy wszedł poprzednio do jej butik, powiedziała: „A więc to byłeś ty”. Zachowywała się tak, jakby zobaczyła ducha, ale najwidoczniej musiała go dostrzec, gdy poprzednio przechodził przez plac w celu obejrzenia proponowanego mu mieszkania.

Prawie się nie zmieniła przez te dziewięć lat. W wieku dziewiętnastu lat była śliczną blondynką, miała piękne złote włosy i głęboko osadzone oczy o barwie świeżych kasztanów. Teraz zniknęła z jej twarzy dziewczęca krągłość, twarz stała się raczej pociągła,

uwypuklając delikatną strukturę kości policzkowych. Była jeszcze piękniejsza. Nie miał jednak wątpliwości, że nadal pozostała ową nieposkromioną drapieżnicą, która wyciągała pazury, gdy tylko ktoś się jej przeciwstawił. I mimo iż tego popołudnia nie straciła nad sobą panowania, jak to bywało w przeszłości, nadal emanował z niej wybuchowy temperament. Dojrzałość i poczucie odpowiedzialności utworzyły jakby warstwę ochronną, niemniej pod tym narzuconym sobie opanowaniem z pewnością nadal wrzały nieprzewidywalne, namiętne emocje, którym w przeszłości tak często ustępował, bo podlegał jej dziewczęcemu czarowi. I tak bardzo się sparzył...

W życiu Lindsay nastąpiła jedna wielka zmiana - pojawiło się dziecko, którego tak bardzo pragnęła, o którym marzyła, a którego on nie mógł jej dać.

Powiedziała, że chłopiec dopiero co skończył osiem lat.

Gibb wyliczył, że czekała najwyżej trzy lub cztery miesiące od jego wyjazdu, nim związała się z człowiekiem, który był ojcem Beepa.

A może wcale nie czekała?

Ale to już nie miało dla niego żadnego znaczenia. Jeszcze nikt nigdy nie nazwał Gibbsona Gardnera sentymentalnym głupcem, a on sam już dawno wyrzucił swoje małżeństwo, i wszystko co się z nim łączyło, na emocjonalny śmietnik.

Tego popołudnia powiedział Lindsay prawdę - odwiedził ją tylko dlatego, że tego wymagała zwykła ludzka przyzwoitość. Wolał osobiście zawiadomić ją o swoim powrocie, niż miałyby dowiedzieć

się o tym z miasteczkowych plotek. Załatwił już to, a teraz czekała go poważna praca.

Światła w „Bukiecie” zgasły. Pewno matka i syn poszli do siebie.

Ciekawe dokąd? Czy Lindsay nadal mieszka tam, gdzie spędziła z Gibbem burzliwe miesiące ich małżeńskiego pożycia, czy też Ben Armentrout zbudował córce nowy dom w eleganckiej dzielnicy miasta? Lindsay zawsze chciała mieć wszystko najlepsze i najokazalsze. A Ben nigdy niczego córce nie odmawiał. To było właśnie powodem ich ostatniej okropnej kłótni.

I może to właśnie jest źródłem obecnych kłopotów finansowych Bena, pomyślał i zaczął wczytywać się w wydruki. Przeglądając je poprzednio, zauważył wpis pod hasłem „Fundacja Armentrout”. Czy może z tego właśnie konta Lindsay otrzymywała pieniądze na wystawny tryb życia i na jej elegancki butik?

Następnego ranka Ben Armentrout zadzwonił do Lindsay.

- Czy nadal gniewasz się na mnie? - spytał.

- Ależ skąd! To przecież nie jest twoja wina, tato!

- Kiedy tak nagle odwiesiłaś wczoraj słuchawkę, to pomyślałem sobie... Niestety, w pewnym sensie to ja sprowadziłem go do miasta...

- Przecież nie wiedziałaś, że to robisz. - Rozmawiając z ojcem, Lindsay porządkowała banknoty w przegródkach szuflady kasy. - A słuchawkę odwiesiłam dlatego, że właśnie wszedł Gibb. Czy jemy dziś razem lunch, czy też jesteś zbyt zajęty?

- Oczywiście, że jemy razem lunch! Przecież to piątek. Nigdy w życiu nie opuściłbym piątkowego lunchu z córką, nawet gdyby się paliło.

- Czy nie sprawi ci różnicy, jeśli nie przyjadę po ciebie do fabryki, ale spotkamy się od razu w restauracji? - spytała. - Moja pracownica przychodzi dopiero o dwunastej.

- Ależ naturalnie. Pojadę sam „Pod Wierzbę”.

Gdy Lindsay pojawiła się w restauracji „Pod Wierzbą”, ojciec już na nią czekał przy ich ulubionym stoliku w rogu sali. W dłoni trzymał kieliszek martini i przeglądał jadłospis. Ben Armentrout był wysokim, barczystym mężczyzną ze strzechą szpakowatych włosów. Dostrzegłszy córkę, wstał, a gdy podeszła, uściskał ją. Długo się jej przyglądał przez szkła okularów, nim z powrotem usiadł.

- Widzę, że dobrze zniosłaś szok - powiedział.

- A co mi pozostało? Zobaczyłam go, jak już stał w drzwiach. Ale poszło dobrze. Powiedzieliśmy sobie, co było do powiedzenia. Mam nadzieję, że nie będziemy często się widywali.

- Zwłaszcza, jeśli będziesz trzymała się z daleka od fabryki - mruknął ojciec.

- Przecież zaglądam rzadko. Tylko do Fundacji. A jeśli sekretarka zechce odsyłać mi pocztę, to będę tam jeszcze rzadziej. Nie mam zamiaru... - Urwała czując, że ktoś na nią patrzy.

Zerknęła w stronę drzwi wejściowych do restauracji.

Stał w nich Gibb, rozglądając się po sali.

- Ty zaprosiłeś tu Gibba?

Ojcu niemal wypadł z ręki jadłospis.

- Ależ skąd! - oburzył się.

Wokół ucichły rozmowy. Wiele głów obróciło się w stronę drzwi.

- No cóż, musisz go poprosić do stolika, tato. Nie ma innego wyjścia. Jeśli tego nie zrobisz, za parę godzin całe miasto będzie o tym wiedziało.

Ben Armentrout bez słowa podniósł dłoń w zapraszającym geście. Gibb podszedł wolnym krokiem.

- Siadaj z nami, synu! - Ben wskazał mu krzesło. Na twarzy Lindsay pojawił się wymuszony uśmiech.

- Tak, siadaj z nami - zaprosiła. Gibb uniósł lekko brwi.

- Przykro mi, że sprawiam ci zawód, Lindsay, ale jestem z kimś umówiony.

Lindsay świerzbil język, żeby zapytać z kim, ale zdawała sobie sprawę, jakie to mogłoby mieć skutki i jakie zdumienie ujrzałaby na twarzy Gibba. Była jednak trochę zawiedziona. Sama nie wiedziała dlaczego. Przecież nie chciała go więcej widzieć. Od dziewięciu lat to sobie powtarzała i dlatego natychmiast odpowiedziała:

- Nie musisz się troszczyć o sprawianie czy niesprawianie mi zawodu. Lunch z tobą byłby z pewnością trudnym przeżyciem, trudniejszym niż... niż... - Zaplątała się. - Zapraszając cię, chciałam tylko dać ci do zrozumienia, że nie ma powodu, abyśmy w miejscach publicznych patrzyli na siebie wilkiem i szczerzyli kły... albo udawali, że się nie znamy.

- Całkowicie to rozumiem - odpowiedział. - Uważasz, że nie należy dawać materiału do myślenia plotkarzom. To nawet dobry pomysł. Zamierzam go wykorzystać...

Nim zdołała przewidzieć jego intencje, pochylił się i pocałował ją w policzek. Właściwie tylko musnął policzek ustami, ale Lindsay poczuła to jak dotknięcie rozpalonym żelazem.

Po uczynieniu tego gestu Gibb skłonił się i odszedł z powrotem w stronę wejścia, gdzie stała kierowniczką sali kierująca gości do stolików. Po chwili poprowadziła go w przeciwny koniec sali.

- To już przechodzi ludzkie wyobrażenie! Co on sobie my... - Lindsay urwała w pół słowa, widząc, że dwie starsze panie przy sąsiednim stoliku pilnie się jej przysłuchują. Nie powróciła już do tego tematu, lecz spytała ostro ojca: - Co to za pomysł nazywania go synem? Zaraz zaczną się plotki, że pojednanie, że wraca marnotrawny mąż, że ja tylko na to czekałam...

- Z tego jednego słowa plotek nie będzie, bo pewno nikt tego nie usłyszał - odparł Ben. - Ale z pocałunku będą. Jednakże biorąc pod uwagę, z kim Gibb teraz się wita, nie musisz się zbytnio martwić, że Gibb będzie cię natrętnie nachodził.

Lindsay nie mogła się opanować i obróciła głowę. Ujrzała stojącą profilem blondynkę w ekstrawaganckim purpurowym kostiumie. Spoglądała na Gibba z kokietyjnym uśmiechem.

- Skye Oliver! - wyszeptała. - Skąd on ją zna? Kiedy poznał? Skye Oliver mieszka tu dopiero od dwóch lat!

- Gibb coś mi wczoraj mówił, że wynajmuje od niej mieszkanie - wyjaśnił Ben.

- No tak, ona przecież ma agencję pośrednictwa w handlu nieruchomościami. Ale po co mu mieszkanie?

- Powiedział, że ma dość życia w hotelu.

- Od kiedy u niej mieszka?

- Spytaj go, Lindsay.

- Właściwie nic mnie to nie obchodzi. Ot, tak spytałam, przepraszam. - Lindsay podniosła nieco wyżej kartę menu i zza niej zerknęła na parę przy odległym stoliku.

Zauważyła, że Skye ma pantofelki, o najwyższych, jakie kiedykolwiek widziała obcasach. I że położyła dłoń na dłoni Gibba, nadal obdarzając go czarującym uśmiechem.

Oderwała wzrok od karty menu, od Skye i Gibba i zwróciła się do ojca:

- Kathy Russel chciałaby przyprowadzić swoją klasę na zwiedzanie fabryki. W przyszły piątek po południu.

- Doskonale. Chyba sam będę mógł ich oprowadzić. Przez szmer rozmów na sali przebił się głośny śmiech

Skye. Lindsay usiłowała to zignorować.

Co też Gibbowi przyszło do głowy, pomyślała. Zadawać się z taką osobą! To niemal wstyd.

- Ja nigdy tego dobrze nie zrobię - odezwał się płaczliwie Beep, odkładając szkielet latawca. Łokciami wsparł się o warsztatowy stół za kasą.

Lindsay z trzaskiem zamknęła szufladę kasy i bankowy woreczek z gotówką schowała do sejfu.

- Po kolacji ci pomogę - obiecała. - Teraz musimy iść do supermarketu. Włóż sweter, bo jest chłodno.

- Czy ja muszę iść? - usiłował protestować Beep.

- Wiem, że mógłbyś zostać sam, mój drogi, ale ja jeszcze nie jestem przekonana, że na tak długo mogę cię opuścić, i wobec tego musisz ze mną iść. I możesz sobie wybrać, co chcesz, na kolację.

- Baton czekoladowy i prażoną kukurydzą! - podsunął błyskawicznie.

- Możesz dowolnie wybierać między rybą, mięsem i kurczakiem. Czekać przy drzwiach, aż pogaszę światła. Musimy wyjść frontowymi drzwiami, ponieważ samochód zostawiłam na placu przed sądem.

Gasila ostatnią lampę, gdy usłyszała dzwonek nad drzwiami, który dawał o sobie znać, ilekroć ktoś wchodził lub wychodził.

- Zostań, Beep, poczekaj na mnie! - zawołała.

- Ja jestem tu, mamie! To nie byłem ja - usłyszała głos syna.

Gdy podeszła, zobaczyła Gibba, który rozglądał się po sklepie.

- Zdażyłem przed zamknięciem - powiedział. - To bardzo dobrze.

- Nie zdażyłeś. Sklep jest już zamknięty.

- Nie przyszedłem niczego kupować.

- Na rozmowy nie mam teraz czasu. Będę tu jutro w ciągu dnia. A za dwie godziny wrócę do domu. Jeśli masz pilną sprawę, możesz zadzwonić. Numer znajdziesz w książce telefonicznej. Jeśli natomiast przyszedłeś przeprosić za swoje zachowanie w restauracji...

- A za cóż miałbym przeproszać? Za braterski pocałunek?

Lindsay nie miała najmniejszej ochoty wdawać się w kłótnię. Do zamka wyjściowych drzwi włożyła klucz i czekała z ich zamknięciem. Beep wyszedł na chodnik, Gibb wzruszył ramionami i podążył za nim.

- Chciałem z tobą pomówić na temat Fundacji Armentrout - powiedział.

- O co ci konkretnie chodzi? - Lindsay przekreśliła klucz w zamku i sprawdziła, czy drzwi są dobrze zamknięte.

- Chcę znać szczegóły.

- Dlaczego nie spytasz ojca?

- Ponieważ na dokumencie ustanawiającym Fundację widnieje twoje nazwisko jako administratorki.

- To prawda. Ojciec ustanowił w ten sposób fundację, aby nie wyglądało, że to on wypłaca pieniądze. Niemniej to jest jego ukochany pomysł i dzieło.

- A więc ty jesteś tylko figurantką?

Ton, jakim zadał to pytanie, nieco ją skonfundował.

- Niezupełnie - odparła po chwili namysłu. - Ja podejmuję większość decyzji, dokąd mają iść pieniądze.

- Ty sama?

- Nie. Istnieje rada, która aprobuje moje decyzje.

- I nigdy nie dezaprobuje?

- Ależ tak, bardzo często. Stenogramy posiedzeń rady znajdują się gdzieś w biurze ojca. Przeczytaj je sobie. To nie są dokumenty tajne.

- Z pewnością przeczytam. A skąd pochodzą pieniądze?

Lindsay wewnątrznie jęknęła. Odciągnięcie Gibba od tematu, do którego się przypiął, było zawsze równie trudne, jak próba zmiany orbity Księżyca.

- Fundacja otrzymuje pewien procent dochodu przedsiębiorstwa i pieniądze te są wykorzystywane na ważne cele w Elmwood i okolicy.

- Dla kogo ważne? I kto ustanawia kryterium ważności?

- Ja i rada.

- Czy owe ważne cele obejmują także utrzymywanie sklepu pamiątkarskiego o nazwie „Bukiet”?

- Sugerujesz, że defrauduję pieniądze przeznaczone na cele dobroczynne? - spytała oburzona.

Beep głęboko i głośno westchnął, po czym usiadł na zderzaku najbliższego stojącego samochodu. Lindsay była zbyt wściekła, by zauważyć, że jest to nowiutki lincoln, jakby dopiero co odebrany z salonu sprzedaży.

- Nie rób tego, Benjaminie, nie huśtaj się! - powiedział do chłopca Gibb.

- Ja mu nic nie zrobię - mruknął Beep, ale wstał i zabrał się do kopania podstawy ulicznej lampy.

Lindsay zobaczyła tablice rejestracyjne z obcego stanu i zapytała:

- To twój wóz?

- Mojej firmy.

- I jeśli coś się stanie, twój szef zmyje ci głowę? - spytała ironicznie. - Zabieram Beepa i idę, bo a nuż chuchnie ci na przednią szybę. - Chwyciła syna za rękę i pociągnęła za sobą.

- Nie tak szybko, mammo! - jęknął Beep.

- Przepraszam, synku.

- On cię pocałował, ale ty jego chyba nie? - spytał mały.

Lindsay miała do tej chwili płonną nadzieję, że Beep, zajęty własnymi myślami, nie przysłuchiwał się rozmowie. Ale świat się zmienia, a wraz z nim zmieniają się ośmiolatki, które stanowczo za szybko dorastają.

- Nie, ja go nie pocałowałam. A on mnie pocałował tak, jak babcia Ella całuje ciebie na Boże Narodzenie.

Beep wydał odgłos obrzydzenia. Lindsay ukryła uśmiech.

- Ja bym go nie chciał za tatę - powiedział po namyśle.

- Z jakiegoś specjalnego powodu? - spytała Lindsay.

- Bo on się chce przez cały czas kłócić, zupełnie jak ojciec i mama Tommy'ego. A ja ich okropnie nie lubię słuchać. - Po długiej chwili milczenia dodał: - I on mnie nie lubi. Krzyczał na mnie.

- Wcale nie krzyczał. Może zbyt ostro się odezwał, ale nie można mieć o to pretensji. Nikt nie lubi, by ktoś dotykał jego

samochodu. I mogłeś coś porysować. To, że on ci powiedział, żebyś oszedł, nie oznacza, że cię nie lubi.

Beep nie wydawał się w pełni przekonany.

- Nie ma na świecie nikogo, kto mógłby cię nie lubić. - Lindsay pieszczotliwie zmierzwiła czuprynkę syna. - On cię po prostu jeszcze dobrze nie zna. No więc, co jemy na kolację?

ROZDZIAŁ TRZECI

Restauracja przy placu za sądem nie wydawała się ani lepsza, ani gorsza od innych, w których Gibb jadał podczas swych pobytów w terenie. Dobrym znakiem było to, że w sobotnie południe przychodziło tu wiele osób. Gibb usiadł na wysokim stołku przy ladzie, zamówił co popadło, czyli tym razem banalny stek z kury w sojowym sosie, z frytkami i gotowaną kukurydzą. Jedząc, przeglądał miejscową gazetę.

Kończył posiłek, kiedy do lokalu weszła Lindsay i zajęła sąsiednie miejsce.

Krytycznie przyjrzała się resztkom na talerzu Gibba i uczyniła uwagę, że od takiego jedzenia można dostać co najmniej ataku serca.

- Dlaczego właśnie ataku serca? A poza tym - wskazał jej szyld wiszący w oknie - restauracja oferuje tu „domowe obiadki”.

- Po takich domowych obiadkach jej klientów niechybnie czeka dom pogrzebowy - odparła.

Podeszła do nich uśmiechnięta kelnerka i poprosiła o zamówienie. Lindsay kazała przygotować na wynos trzy sandwicze z pieczonym indykiem na żytnim chlebie, z pomidorem i sałata.

- W oczekiwaniu na kanapki napij się ze mną kawy. Możesz też się przyglądać, jak zapycham sobie arterie kurzym stekiem z kukurydzą w gęstym sosie.

- Nie, bardzo dziękuję, ale nie. Kawę pijam rzadko, a mojej pracownicy powiedziałam, że zaraz wrócę.

Lindsay zachowywała się nieco nerwowo - przez cały czas przebierała palcami między drewnianymi koralikami taniutkiego naszyjnika. Zdziwiło Gibba, że nie widzi żadnej biżuterii, którą jego eks-zona lubiła się obwieszać. Może po prostu nie nosi biżuterii w pracy?

- A niech tam, mogę się napić - zmieniła zdanie. Gdy kelnerka podała kawę, Lindsay spytała:

- Przeglądałeś materiały dotyczące Fundacji?

- Większość.

- Nie uważasz, że powinieneś mnie przeprosić za twoje przykre insynuacje?

- Hmm...

Oczy Lindsay rozgorzały złością,

- Czyżbyś nadal mnie posądzał o malwersacje?

- O to z pewnością nie, ale o złe zarządzanie.

- Jeśli ktoś z rady ustąpi, poproszę ojca, żeby cię mianował na jego miejsce. Do tego czasu nie masz powodu, by wtykać nos w sprawy Fundacji.

- W pewnym sensie masz rację - zgodził się. Połknął ostatni kawałek kury w brunatnym sosie. - Wbrew twojej opinii stwierdzam, że ten kurzy stek był wcale niezły.

- Jeśli nie masz większych wymagań kulinarnych...

- Sama rozumiesz, że nie mam kryterium porównawczego. Nikt specjalnie dla mnie nie gotuje.

- Postanowiłeś się usatkwować, a nie wędrować od hotelu do hotelu... - Coś jej się przypomniało i na jej usta wystąpił lekki uśmiech. - Kiedy za młodu na krótko to uczyniłeś, ja byłam wtedy marną kucharką. Pamiętasz, jak raz spaliłam do cna kurę w piecyku mikrofalowym? Jeszcze nie słyszałam, by udało się to komuś innemu.

- Jakże mógłbym zapomnieć. - Przyglądał się z ukosa

Lindsay. Po raz pierwszy od bardzo dawna widział uśmiech na jej twarzy. W ostatnich miesiącach ich małżeństwa nie uśmiechała się nigdy.

Pojawiła się kelnerka z zamówionymi sandwichami w brązowej torebce. Lindsay zapłaciła, rzuciła Gibbowi „dzięki za kawę!” i zniknęła.

Gibb jeszcze przez parę minut siedział zatopiony w myślach, a potem też wyszedł, obiecując sobie, że nie będzie wracał do wspomnień, bo nie ma co nad sobą się użalać. Było jak było, jest jak jest. Szedł przez plac, wystawiając twarz na ciepłe promienie słońca.

Kiedy właśnie gratulował sobie, że trafił w Elmwood na prawdziwą wiosnę, powiał nagle zimny mroźny wiatr. No tak, klimat tutejszy jest jak Lindsay, pomyślał, uroczy w jednej minucie, paskudny w następnej.

Wbrew danej sobie obietnicy myślami nadal tkwił w przeszłości. Przed dziesięciu laty Lindsay była jeszcze dzieckiem - cudownym, uroczym, ale rozpieszczonym i narzucającym wszystkim swoją wolę. Matkę straciła, kiedy była mała. Wyrastała jako ukochana córeczka Bena Armentrouta. Z początku Gibb także robił wszystko, co tylko chciała. Ale w miarę upływu miesięcy jej wymagania i pretensje rosły, miast się utemperować. Usiłował zastosować metodę perswazji, logicznego przekonywania, a wreszcie - chyba podczas ostatniej awantury - uciekł się do podjęcia i zakomunikowania jej swoich kategoriycznych decyzji.

Strategia ta zawiodła. Należało się tego spodziewać. Był również niedojrzały i naiwny.

Przypomniał sobie, jak Lindsay niemal tańczyła z radości, kiedy znalazła wreszcie takie meble, jakich szukała do wspaniale przerobionej na mieszkanie starej wozowni. Kupiła je, nie pytając Gibba, gdyż - jak to z naciskiem podkreśliła - ojciec zawsze zapłaci za wszystko, czego ona zapragnie.

Chyba ze sto razy Gibb usiłował jej wytłumaczyć, że chce, aby żyli z zarobionych przez niego pieniędzy, a nie z datków ojca. Tym razem nie próbował nawet tego argumentu. Miał już dość. Nie pytając nawet, ile te meble kosztowały, kazał jej się wycofać z umowy kupna.

Kłótnia oczywiście na tym się nie skończyła i można śmiało powiedzieć, że ich małżeński statek rozbił się o rafę z mebli. Ale gdyby nie rozbił się o toaletkę czy szafę, bez których Lindsay rzekomo nie mogła żyć, to rozbiłby się o coś innego lub osiadł na mieliźnie. Gibb już dawno pogodził się z tym faktem i przestał o tym myśleć. Dopiero teraz, gdy los sprowadził go z powrotem do Elmwood, powróciły wspomnienia.

Był tak zatopiony w myślach, że nie zauważył zbliżającego się zagrożenia, póki nie poczuł gwałtownego uderzenia w brzuch powyżej pasa. Zatoczył się i pochwycił sprawcę ataku. Po chwili dopiero zobaczył wpatrzony w siebie przerażone oczy chłopca - synka Lindsay. Spojrzał na leżący u stóp przedmiot i wszystko zrozumiał: na ziemi leżały szczątki prymitywnego, papierowego latawca zbudowanego na szkielecie z drewnienek. Beep trzymał w rękach patyk z nawiniętym nań sznurkiem.

- Bardzo pana przepraszam - wyjąkał chłopiec i już rezolutniej zaczął wyjaśniać: - Bo ja chciałem wypuścić tego latawca i patrzyłem za siebie, zamiast przed siebie... no i wpadłem na pana...

- Nic ci się nie stało? - spytał Gibb.

- Nic, proszę pana. Czy musi pan powiedzieć o tym mojej mamie?

- Wcale nie muszę. Jeszcze by była zła, że się napatoczyłem na ciebie. Nie patrzyłem, dokąd idę.

- No tak, ale mama nie mogłaby pana odesłać do pokoju, tak jak mnie...

Patrzył na twarzyczkę dziecka i pomyślał, że Beep jest bardzo podobny do Lindsay. Te same wielkie brązowe oczy, te same rysy. Ale Lindsay nigdy nie miała piegów. Chyba jako małe dziecko. A może to rodzinny spadek po dziadku od strony matki? Podobno był rudy, a rudzi prawie zawsze są piegowaci. Tak, we włosach małego Beepa były rdzawe przebłyski.

Beep kręcił się niespokojnie pod spojrzeniem Gibba. Może myślał, że tu na miejscu dostanie lanie? No, ale jeśli wolałby to niż skargę na niego do matki...

Gibb puścił chłopca. Prawdę powiedziawszy, nie miał pojęcia, jak postępować z dziećmi. Nie miał też pojęcia, jak ostatecznie wybrnąć z obecnej sytuacji. Rozejrzał się - sam nie wiedział po co i dlaczego - a potem podniósł szczątki latawca.

- Nic już z niego nie będzie - powiedział..

- Trudno, proszę pana. - Chłopiec filozoficznie wzruszył ramionami. - To nie był dobry latawiec, bo ja ich nie umiem składać. A mama też nie potrafiła. Ale lepszego nie mogłem kupić, bo mam od mamy za małą pensję.

Myśl o Lindsay studiującej instrukcję składania papierowego latawca wzbudziła w Gibbie wielką wesołość. To nie była Lindsay, jaką pamiętał z przeszłości.

- Mama składała go z tobą? - spytał.

Najprawdopodobniej chłopca uderzył ton niedowierzania, gdyż się nastroszył i natychmiast odparł:

- Moja mama wszystko umie robić! Tylko latawców nie potrafi.

- Jestem pewien, że twoja mama jest wspaniała i wszystko umie.

W spojrzeniu Beepa widniało wyzwanie.

- Dlaczego pan mnie nie lubi? - spytał.

Gibb był zaskoczony.

- A dlaczegóż to miałbym cię nie lubić, chłopcze? Przecież prawie cię nie znam.

- Mama to samo powiedziała. Że pan jeszcze mnie nie zna, więc nie wie, czy lubić. Ale ja to jakoś czuję, że pan mnie nie lubi.

Od drzwi butiku „Bukiet” dobiegło wołanie Lindsay:

- Obiad, Beep!

Beep bez słowa pożegnania pobiegł do matki.

Lindsay zniknęła w głębi sklepu. Gibb nie miał pojęcia, czy go zauważyła. W każdym razie nie ujawniła tego żadnym gestem ani słowem.

Gibb patrzył na trzymane w dłoni szczątki latawca i myślał o ostatnim pytaniu Beepa: „Dlaczego pan mnie nie lubi?”.

Patyki i podarty papier z latawca wrzucił do najbliższego śmietnika, ale pozostał przy śmietniku, zastanawiając się, czy dobrze zrobił. A jeśli Beep chciałby naprawić zabawkę?

Ej, chyba nie. Nawet bez tego zderzenia przed chwilą ten latawiec nigdy by się wysoko nie uniósł. To było widać. Ale Beep kupił go przecież za własne pieniądze, a latawiec zniszczył się, bo chłopiec wpadł na Gibba. W pewnym sensie on, Gibb, jako dorosły mężczyzna, też ponosił za to odpowiedzialność. Trzeba jednak przyznać, że matka dobrze wychowuje syna. Nie rozpieszcza go.

Przecież Ben Armentrout byłby gotów kupić wnukowi dziesięć latawców, ale Lindsay widocznie nie chciała...

Tuż za rogiem był duży dom towarowy. Gibb postanowił wejść do niego i trochę się rozejrzeć. Znalezienie tego, czego szukał, zajęło mu trochę czasu, i dopiero po półgodzinie wkroczył do „Bukietu” objuczony sporą torbą. Powitała go kobieta, której nie znał.

- Dzień dobry panu, czym mogę służyć? Czy szuka pan czegoś specjalnego...?

- Tak, szukam Benjaminą - odparł Gibb i dopiero wtedy zobaczył Beepą siedzącego przy stoliku za kasą i pałaszującego sandwicza. Obok chłopca stała szklanka z mlekiem, a przed nosem miał rozłożony komiks. Słyszając swoje imię, podniósł głowę i ujrawszy Gibbą, wyraźnie się zaniepokoił.

Gibb podszedł i prawie szeptem powiedział:

- Nie bój się. Nie przyszedłem po to, żeby coś powiedzieć mamie. - Otworzył torbę i wyciągnął z niej barwne, długie pudełko. - Ten jest większy i mocniejszy. I ma też wszystko, co potrzeba, żeby go złożyć. Nie będziesz miał żadnych problemów. Mama też nie.

Beepowi rozbłysły oczy. Wziął pudełko delikatnie, niby cenny skarb, i radośnie się uśmiechnął, a Gibbowi zrobiło się nagle bardzo ciepło na sercu. I dziwnie.

- Jest tam dokładna instrukcja. Przeczytałem ją. Wszystko jasno wytłumaczone, jak i co robić, krok po kroku...

Przez twarz chłopca przemknął cień niepewności.

- A nie mógłby mi pan pomóc...?

- Na pewno pomoże ci mama...

- Kiedy ona jest teraz bardzo zajęta, a to jest taki dobry dzień na latawce i ja mam dziś dużo czasu... - wypowiedział Beep jednym tchem z rodzącą się w oczach nadzieją, że ten pan zrozumie potrzebę udzielenia pomocy. - Bardzo pana proszę!

Gibb przypomniał sobie o czekającej go pilnej pracy i już miał odmówić, kiedy spojrzenie brązowych, urzekających oczu zmieniło jego decyzję.

Sięgnął po pudełko, otworzył je i wyjął kartkę z instrukcją.

- Czytaj na głos, młody człowieku - powiedział. - Zabieramy się do roboty.

Słońce zajrzało w zachodnie okno pokoju, który służył jako gabinet do pracy. Lindsay odłożyła ostatni katalog i wstała, prostując kości. Wybrała świetny zestaw artykułów na tegoroczne Boże Narodzenie. Z pewnością będą miały powodzenie. Muszą mieć powodzenie! Wszyscy handlowcy czekali zawsze na grudzień, który był miesiącem najwyższych obrotów. Jedna sprawa z głowy. Pozostaje wysłać zamówienie i czekać na dostawę późnym latem. Teraz ma na głowie wiele innych spraw, a najbliższa to przyjęcie u Kathy Russel. I jeśli się nie pośpieszy, to na pewno się spóźni.

Do mikrofalówki włożyła płat kury dla syna na kolację i zadzwoniła na dół do sklepu, prosząc pracownicę o przysłanie Beepa na górę.

- Bawi się latawcem na placu - usłyszała w odpowiedzi. - Czy mam go zawołać?

- Nie, dziękuję. Sama zawołam przez okno.

Przeszła do okna wychodzącego na sąd stojący pośrodku placu i zobaczyła Beepa leżącego na plecach na trawie, wpatzonego w furkocący wysoko nad jego głową latawiec. Gdy parę razy wykrzyknęła: „Beep, Beep!”, chłopiec się poderwał i zaczął nawijać sznurek na patyk.

Do domu wrócił jednak dopiero po kwadransie.

- Jakoś długo pan wracał, drogi panie - powiedziała do syna z wyrzutem.

- Ach, bo ty nie wiesz, mamó, że latawca trzeba ściągać powoli...

- Beep mówiąc to, obmywał jednocześnie twarz i słowa były nieco zniekształcone... - Gibb powiedział, że jak się za szybko zwija, to latawiec może spaść i rozbić się...

Czyżby dobrze usłyszała? Gibb udzielający porad, jak puszczać latawce? Spojrzała na latawiec leżący na końcu stołu.

- Myślałam, że twój latawiec jest niebieski...?

- Był, ale go rozbiłem.

- Więc skąd jest ten? Myślałam, że już nie masz pieniędzy... -

Przyszła jej do głowy straszna myśl, że Beep zwędził latawca z lady sklepowej. Chłopcy w jego wieku miewają czasem takie pomysły, sądząc, że wolno im brać to, co im się podoba.

- Gibb mi kupił - pochwalił się mały.

- Co? - Lindsay była na pół zdumiona, na pół oburzona.

- Ja go naprawdę o to nie prosiłem, mamó. On mi go kupił, bo tak trochę pomógł zepsuć tamten niebieski... A ten wspaniale lata...

- Zauważyłam - odparła sucho.

Postanowiła nie robić z wydarzenia wielkiej sprawy. Zastanawiała się, na czymże mogło polegać owo „pomaganie” w psuciu latawca. Woląla jednak nie wiedzieć. Może by nawet łatwiej przełknęła buchnięcie latawca ze sklepu.

- I wiesz co, mamó? - ciągnął Beep. - Kiedy się bliżej poznaliśmy, to stało się to, co powiedziałaś.

- Co mianowicie?

- On mnie chyba już lubi.

Beep z apetytem zabrał się do kolacji, a Lindsay z głową pełną sprzecznych myśli poszła wziąć prysznic. Nie spodziewała się tych wszystkich komplikacji. Była właściwie przekonana, że Beep chytrze przemyślał spotkanie z Gibbem, by go przekonać, że jest chłopcem, którego należy lubić.

Dokąd to wszystko może zaprowadzić? Nie wyjdzie z tego nic dobrego, to pewne.

Nie należy wyciągać pochopnych wniosków, przestrzegala się w duchu. Przecież właściwie nic się nie stało. Ot, Gibb kupił chłopcu pięciodolarowego latawca, i co z tego? Trzeba teraz zrobić jedno: wyjaśnić Beepowi, że Gibb pozostanie w Elmwood krótko i że jest zbyt zajęty, by mieć czas na zabawy z ośmiolatkiem.

Z szafy wyjęła rdzawy sweter i dobrała do niego odpowiednią parę spodni. Opiekunka do dziecka zjawiała się o umówionym czasie, więc Lindsay pocałowała syna w główkę i sięgnęła po płaszczyk.

- Na kartce przy telefonie zapisałam ci numer, możesz do mnie w razie potrzeby zadzwonić - powiedziała. - Postaram się wrócić wcześniej.

- Ładnie pachniesz, mamó - zauważył Beep.

- Dziękuję, kochanie. - To pewno ten szampon, który dostałam od ciebie. I skończ już tę kolację.

- I wygląda pani ślicznie - wtrąciła opiekunka. - Z pewnością przy okazji przyjęcia ma pani randkę.

Lindsay roześmiała się.

- Nie miewam randek na przyjęciach. A idę na krótko.

Oblewanie nowego domu Kathy.

- Wszystko jedno. Przyjęcie to przyjęcie. Kobieta powinna iść na nie z mężczyzną. Że też te chłopcy w mieście nie widzą, jaka pani śliczna.

Lindsay nic nie odpowiedziała. Opiekunka-nastolatka, która uważa, że przyjęcie bez randki to tragedia, nigdy nie zrozumie, że ktoś może chcieć iść sam. Życie jest wtedy mniej skomplikowane.

Powiedziała jeszcze: „Pa, synku!” i wyszła.

Kiedy Lindsay się pojawiła, przyjęcie było już w pełnym toku. Kathy i Ian Russel powitali ją w drzwiach starego, stylowego domu, który właśnie kupili, i ucałowawszy wprowadzili do środka.

- Ale tłum! - skomentowała Lindsay.
- Pojęcia nie mam, ile osób przyszło, ale zaprosiliśmy koło setki
- odparła Kathy. - Jeszcze tu nie byłeś po naszym wprowadzeniu?
- Nie, widziałam tylko gołe ściany.
- Teraz są półgołe, brakuje jeszcze sporo mebli, bo chwilowo nie mamy pieniędzy. - Wskazała na prawie pusty salon z dwoma drzewkami w donicach i zestawem stereo. - Widzisz, jak pusto?
- Chwilowo nazwij ten pokój salą balową - poradziła Lindsay. - Zresztą świetnie się do tego nadaje z tą dębową podłogą. Kto wie, może tak ci się to spodoba...
- Dobrze, dobrze, pomyślę nad tym. - Kathy roześmiała się. - Chwilowo są ważniejsze sprawy. Dave Jones rozpytywał o ciebie. I czeka jak na szpilkach. Tak sobie pomyślałam, że może ty i on...
- Daj spokój, Kathy. Wystarczy, że parę razy z nim się pokazałam, a już wszyscy zaczynają wypatrywać zaproszeń na ślub.
- No i czy to byłoby takie złe? Długo będziesz jeszcze czekała, Lindsay? Czas płynie. A Dave to miły chłopak.
- Spróbowałam raz i mam dość.
- Dave to nie Gibb - zauważyła filozoficznie Kathy.
- Właśnie - odparła Lindsay enigmatycznie. - Daj mi spokój, Kathy...
- Od dalszej dyskusji na ten temat ocalił Lindsay dzwonek - przyszli nowi goście i Kathy poszła otworzyć drzwi.
- Lindsay przeszła do pokoju jadalnego, gdzie znajdował się bufet. Prawie natychmiast natknęła się na Dave'a, który z ponurą miną

wyjadał mięsne krokiety prosto z podgrzewacza. W przeszłości pokazała się z nim parokrotnie, ale nie miała ochoty tego kontynuować. Nie pociągał jej. Ponieważ był zwykłym robotnikiem w fabryce ojca, mieszkańcy Elmwood zaczęli plotkować, że córka właściciela zadziera nosa i szuka kogoś godniejszego. Takie już było Elmwood - plotki, plotki, plotki. Westchnęła. Wzięła ze stołu talerz i stając koło Dave'a, mruknęła:

- Dlaczego jesteś taki nachmurzony?
- Przyszłaś sama czy z kimś? - odparł pytaniem,
- Co za pytanie?
- No bo przyjechał twój eks...
- Gibb jest nie tylko moim eks, ale przebrzmiałą historią.

Minęło, koniec, kropka.

- Martwimy się jego przyjazdem.
- Kto i dlaczego?
- Ludzie w fabryce się martwią. Wszyscy wiedzą, że po twoim rozwodzie twój ojciec dał mu pieniądze, żeby się stąd wyniósł i nie wracał. A teraz wrócił. Nie ma powodów, by żywił przyjazne uczucia dla fabryki. Dlaczego miałby się starać, żeby ocalić nasze stanowiska pracy?

- Bo na tym polega jego praca. Firma Triangle szczyci się tym, że ocala upadające firmy. Bankructwo firmy, którą się Triangle zajmuje, byłaby dla niej wielką porażką.

Dave wzruszył ramionami.

- Może. Zobaczymy. - Nieco się rozchmurzył. - Zatańczysz? - I uśmiechnął się z ulgą, kiedy wyraziła zgodę.

Po blisko godzinie, gdy Lindsay, stojąc przy stereo, wybierała nową płytę, w tłumku gwarzących głośno gości zapadła nagle cisza. Tylko na chwilę, bo za moment wszyscy ze zdwojoną energią powrócili do plotkowania. Lindsay zaciekawiona, co też się stało, spojrzała w stronę drzwi wejściowych. Stał w nich Gibb i uwieszona na jego ramieniu Skye Oliver.

Lindsay była na tyle blisko, by słyszeć, jak Skye donośnym głosem, jakby chciała całemu światu obwieścić jakiś wielki sukces, paplała wesoło:

- Wiedziałam, że będziesz zadowolona, jeśli go tu przyprowadzę. Biedny Gibb nikogo nie zna w Elmwood, a przecież czasami musi się rozerwać, więc podczas lunchu powiedziałam mu... a żebyś ty wiedziała, jakie świetne langusty nam podali „Pod Wierzbą”, palce lizać! Więc powiedziałam mu, że najlepszą okazją do poznania ludzi i rozerwania się jest przyjęcie u Kathy Russel i że nie zrobi ci różnicy jedna osoba więcej przy stu innych... - Skye przerwała, dla nabrania oddechu, i zwróciła się do Gibba: - Bo wiesz, Gibb, Kathy wydaje wspaniałe przyjęcia, przychodzi na nie zawsze całe Elmwood...

- Czy tej babie nigdy nie zamykają się usta? - mruknął Dave. - Nawet kiedy nie mówi, to oddycha jak ryba.

Lindsay nie skomentowała tego, natomiast pomyślała sobie, że całe to głośne i pozornie bezładne gadanie Skye, zostało starannie

obmyślane i wypracowane, i przyniosło oczekiwany rezultat, stanowiąc ekwiwalent całostronicowego ogłoszenia w miejscowej gazecie, że Skye posiada tytuł własności niejakiego Gibba Gardnera.

Stojący obok Lindsay Ian Russel mruknął:

- Ktoś powinien był ostrzec tego biedaka, że zaproszenie kobiety „Pod Wierzbę” na langustę jest w opinii mieszkańców Elmwood równoznaczne z zaręczynami. Następny etap, to kupno pierścionka zaręczynowego.

Lindsay zachichotała.

- Czy tak samo złowiłeś Kathy?

Rozpromieniona Skye wylewnie witała się ze stojącymi najbliżej gośćmi. Oczy jej promieniały, policzki miała zaróżowione od wieczornego lodowatego wiatru, a może od tego, co robiła z Gibbem przed pojawieniem się u Kathy.

Lindsay ujęła Dave'a pod ramię i podała mu wybraną płytę.

- Puść tę i chodźmy tańczyć.

W czasie całego wieczoru usiłowała uniknąć spotkania z Gibbem, ale chociaż dom Kathy miał wiele pomieszczeń, trudno było chwilami nie słyszeć tak zwanego perlistego śmiechu Skye i fragmentów jej zawsze głośnej rozmowy z Gibbem, który odzywał się bardzo rzadko, właściwie tylko monosylabami, ale - ilekroć Lindsay go dostrzegała - patrzył w oczy Skye z widoczną aprobatą.

Lindsay stała przy bufecie, gdy znajdującej się po drugiej stronie stołu Skye ktoś zadał pytanie, czy to prawda, że jej rodzice sprzedają mieszkanie przy placu.

- Ależ nigdy w świecie! - odparła Skye. - Pojęcia nie mam, dlaczego zrodziła się taka plotka. Oni uwielbiają swoje gniazdko, tylko że teraz wybrali się w podróż ich życia, dookoła świata, więc kiedy Gibb pojawił się w mieście i potrzebował mieszkania na kilka miesięcy, a nie mógł niczego znaleźć, zadzwoniłam do rodziców. Byli akurat w Singapurze, dobrze, że wiedziałam, w jakim hotelu, i zgodzili się wynająć mu ten apartament.

Dłoń Lindsay znieruchomiała w powietrzu razem z łyżeczką do majonezu, którą właśnie chciała użyć. Stała tak odrętwiała przez parę sekund, a potem zaczęła sobie powtarzać, że nie obchodzi ją, gdzie mieszka Gibb. I że to nie ma żadnego znaczenia. A jednak... Była raz w mieszkaniu Oliverów. Wiedziała, jaki jest z niego widok na „Bukiet” i na okno jej saloniku na piętrze. Czy właśnie dlatego Gibb je wynajął?

Skye napotkała spojrzenie Lindsay.

- Cześć, Lindsay. Co za spotkanie! A skoro już cię widzę, to powiedz mi, czy nie uważasz, że Gibb powinien być przyjęty do klubu mieszkańców Placu Sądowego? Zajmiesz się tym? - Zabrzmiało to niemal jak polecenie wydawane sekretarce.

- Nie ma najmniejszych przeszkód, jeśli tylko Gibb ma ochotę...

- Co to jest ten klub mieszkańców placu? - spytał bez entuzjazmu Gibb. - Klub taneczny?

Patrzył przy tym na Lindsay, ale odpowiedziała Skye, okraszając odpowiedź swym perlistym śmiechem:

- Taka niemądra organizacja, nudy na pudy, ale podobno wypada należeć.

- Członkami klubu są wszyscy mieszkańcy domów znajdujących się przy Placu Sądowym. W tym roku ja przewodzę klubowi - wyjaśniła Lindsay. Nie umknęła jej uwagi nagła zmiana wyrazu twarzy Gibba.

- Więc ty także mieszkasz przy tym placu?

- Tak. Nad moim butikiem. - Była zadowolona, ale jednocześnie poczuła się nieco głupio. Bo jakże mogła nawet przez ułamek sekundy sądzić, że on wynajął tamto mieszkanie ze względu na nią. Nawet nie wiedział, gdzie ona mieszka.

- Nie sądzę, abym miał dość czasu na klubowe herbatki - powiedział Gibb.

Taka odpowiedź bardzo odpowiadała Lindsay.

- Ach, jakże rozczarowana będzie Skye - powiedziała z wielką satysfakcją.

Lindsay była pewna, że istotna treść jej komentarza nie umknęła Gibbowi, gdyż w kąciку jego ust pojawił się ślad uśmiešku.

- Ale... nie zdążyłem dokończyć, bo mi przerwano... mimo braku czasu na prowadzenie życia towarzyskiego, będę zaszczycony, przystępując do klubu mieszkańców nadsklepowych apartamentów. Wciągnij mnie na listę członków, Lindsay!

Powinna była wiedzieć, że Gibb podejmie rzucone mu wezwanie. Nie powinna była tego robić. Chociaż co za różnica! On rzeczywiście nie będzie miał czasu na uczestniczenie w życiu miasta.

A jeśli nawet, to wkrótce się przekona, że Skye miała rację przynajmniej co do jednego: klub mieszkańców nie należał do kipiących życiem organizacji.

Kiedy po przyjęciu wracała do domu, przypomniła sobie wyraz twarzy Gibba, gdy dowiedział się, że ona mieszka nad sklepem. I towarzyszące temu spojrzenie. Co to miało znaczyć? Co w owej chwili Gibb sobie pomyślał? Czy go to zainteresowało, bo....

Oczywiście, że nie! Zachowuję się jak paranoiczka, skarciła się. Nie obchodzi go, gdzie mieszkam, jak żyję, co robię. No i dobrze! Bardzo mi to odpowiada.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Lindsay zajrzała do piecyka, poląła rosołem prawie gotową już pieczeń i obróciła otaczające ją wianuszkami kartofle i marchewki. Podobnie pracochłonne obiady przygotowywała tylko w niedzielę, kiedy przychodził ojciec. Spojrzała na zegar i poleciła Beepowi, by czym prędzej nakrywał, bo lada chwila może pojawić się dziadek.

- Jeszcze minutka, mamó, taka ciekawa gra, a ja wygrywam! - wykrzyknął Beep z sąsiedniego pokoju, z którego przez cały czas dobiegały elektroniczne piski, trzaski i pomruki komputerowej gry ofiarowanej Beepowi przez Bena Armentrouta na ostatnie Boże Narodzenie.

- Daję ci trzy minuty, a potem nakrywasz do stołu - odparła matka. - Jeśli się nie pojawisz, przez cały tydzień będziesz miał szlaban na bawienie się w gry komputerowe.

Beep pojawił się w ostatnich sekundach wyznaczonego mu czasu, niosąc owiniętego wokół szyi czarnego kota.

- Przez tydzień nie dałabyś mi grać? - zapytał ze zdumieniem w głosie. - To okrucieństwo, a nie kara.

- Zabieraj się do roboty, bo naprawdę będę okrutna - odparła. - I przestań męczyć kota. Puść go i umyj ręce.

- Koty są bardziej czyste niż ludzie. Tak jest napisane w książce, którą dostałem.

- Nie wątpię w to. Ale regulamin domowy nakazuje myć ręce po bawieniu się z kotem.

Beep zdjął ze stołu latawca i powiesił go na haczyku na drzwiach.

- Ciekawe, co dziś robi Gibb... Lindsay uniosła głowę znad zlewu.

- Dlaczego to cię tak obchodzi? Pewno pracuje. Nie pracował wczoraj wieczorem... - Ugryzła się w język. Po co to opowiada Beepowi?

- Był też na tym przyjęciu? Spotkałaś go?

- Był.

- Bo mnie przedtem mówił, że ma się z kimś spotkać, ale nie powiedział, że idzie na przyjęcie. Mówił mi to, bo nie mógł dłużej zostać i puszczać latawca. - Beep wyjął trzy talerze z kredensu. - Był z

ładną panią? Bo Gibb powinien być z ładną panią - powiedział poważnie chłopiec.

- O tak, na taką z pewnością zasługuje - wyrwało się Lindsay. Jednocześnie pomyślała sobie, że ma teraz doskonałą okazję przekonania Beepa, że nie należy liczyć na żadne bliższe stosunki z Gibbem. - Bardzo ładna i Gibb jest nią zachwycony. Nie będę wcale zdziwiona, jeśli cały swój wolny czas jej poświęci.

- Ooo! - zareagował smutno Beep.

Lindsay poczuła niemiłe ukłucie w okolicy serca. Tak, Skye jest bardzo ładna i przyciąga uwagę mężczyzn, w każdym razie takich, którzy lubią filigranowe brunetki. Minionego wieczoru Gibb wydawał się czuć doskonale w jej towarzystwie. Lindsay była gotowa założyć się o każdą sumę, że Gibb i Skye będą się coraz częściej widywali. Już Skye się o to postara.

Na schodach rozległy się ciężkie kroki. Po chwili do mieszkania wszedł Ben Armentrout.

- Ach, jak cudownie pachnie! - zauważył. - Czy ja zasługuję na podobne delicje?

- Zaraz możesz zasłużyć, papo. W łazience cieknie kran.

- Za taki królewski obiad jestem gotów kupić ci całą łazienkę.

- Wystarczy mi kran - odparła ze śmiechem. - Siadaj, papo.

Dziadek objął i przytulił Beepa, trzymającego w rękach trzy noże i trzy widelce, po czym ciężko usiadł.

- Trudny miałem tydzień - obwieścił. Beep poważnie pokiwał głową.

- Wszystko wiem, dziadku. Gibb mi opowiedział o twoich kłopotach, kiedy składaliśmy latawiec.

Ben Armentrout spojrział pytająco na córkę. Rozłożyła ręce.

- O nic mnie nie pytaj, papo. Sama nie wiem, co się tutaj dzieje. Wiem o latawcu, ale nic więcej.

- Hmm, z tego w każdym razie wynika, że Beep wie więcej, niż Gibb był łaskaw mi powiedzieć, - mruknął Ben pod nosem. - Wiesz co, młody człowieku, chodźmy do łazienki reperować ciekący kran i przy okazji wszystko mi opowiesz.

Wyszli, zostawiając Lindsay przy krajaniu chleba. Z łazienki dochodziły ją odgłosy rozmowy dziadka z wnukiem. Wnuk mówił więcej, dziadek zadawał tylko pytania.

Gdy wreszcie była gotowa z obiadem i poszła do łazienki, Beep przechadzał się tam i z powrotem po brzegu wanny, Ben natomiast brudną uszczelkę wycierał w jej najlepszy bielutki ręcznik.

- Mogą być czekoladki - powiedział Beep.

- No i kwiaty - uzupełnił Ben. Lindsay oparła się o framugę drzwi.

- Dla kogóż to zamierzacie kupować kwiaty i czekoladki? Czy któryś z was ma przyjaciółeczkę, o której nic nie wiem?

- Mamy tylko ciebie - zapewnił Ben. - A w przyszłym miesiącu są twoje urodziny.

- Co byś chciała na urodziny, mamó? - spytał Beep, właśnie stracił równowagę na wąskiej krawędzi wanny, więc Lindsay

podbiegła, chwyciła go i postawiła na podłodze. Przytuliła synka i pogłaskała po główce.

- Wystarczy, że mam ciebie. Nie chcę niczego więcej, kochanie. Niech panowie umyją teraz ręce i siadają do stołu. Wyjmuję pieczeń...

- Jeszcze nie możemy iść, mamó. Rozebraliśmy kran, bo przecież tego chciałaś, i teraz nie ma wody. Musimy wszystko złożyć.

- Złóżcie po obiedzie, a woda jest w kuchni, tam też możecie umyć ręce, albo proszę iść do ogrodu i tam skorzystać z węża do podlewania.

- To już wolę iść do kuchni - zgodził się Beep.

- Ja też - dodał Ben.

Pieczeń zdobyła ogromne uznanie, a Beep między kęsami prowadził ożywiony monolog, w którym na pierwszym planie występowała osoba Gibba. Ojciec tylko od czasu do czasu podnosił wzrok na Lindsay, ale nie zabierał głosu. Dopiero po deserze, kiedy Beep umknął czym prędzej do swego komputera, Ben upił łyk kawy, odchrząknął i powiedział:

- Problem wydaje się poważny.

- I Gibb naprawdę opowiadał Beepowi o sytuacji w fabryce?

- Nie powiedział mu nic, o czym wszyscy by nie wiedzieli. A poza tym w łazience nie mówiliśmy długo o Gibbie. Beep relacjonował mi film, jaki oglądał z opiekunką wczoraj wieczorem w telewizji.

- Pewnie nigdy bym mu tego filmu nie pozwoliła oglądać. Z pewnością nie. Jestem przekonana, że było tam kilka trupów i na okrasę dwa porwania.

- Co zamierzasz zrobić, Lindsay?

Dobrze zrozumiała pytanie ojca i poprzednią uwagę, że problem jest poważny.

- Myślisz o nowym idolu Beepa? Tak, upatrzył sobie Gibba na bohatera życiowego romansu. Chyba będę musiała porozmawiać z Gibbem. Tylko on może położyć temu kres. Muszę mu jednak podsunąć sposób zniechęcenia do siebie Beepa, gdyż on sam nie ma pojęcia, jak należy postępować z ośmiolatkiem. Na pewno się zgodzi, bo w gruncie rzeczy przecież Beep nie obchodzi go... nic a nic. Ben westchnął i powiedział:

- Muszę pojechać do sklepu po nową uszczelkę. Greg otworzy mi od tyłu. Mogę zabrać Beepa.

- Wiem, co masz na myśli, tato. Chcesz, żebym ja w tym czasie porozmawiała z Gibbem. Dobrze, jedźcie.

Gdy mały usłyszał o propozycji wyprawy z dziadkiem do sklepu, wykrzyknął radośnie:

- A będziemy mogli przy okazji obejrzeć zabawki?

- Tylko mu nic nie kupuj, tato! - Lindsay powiedziała to machinalnie, bo zawsze tak reagowała, kiedy dziadek zabierał wnuka do sklepu.

Ben skwitował to lekceważącym gestem ręki i wyszli.

Lindsay chwilę zwlekała, wolno uprząając ze stołu, ale wreszcie powiedziała sobie, że raz kozie śmierć i wyszła z domu. Po minucie wchodziła już na schody prowadzące do apartamentu Oliverów.

Nacisnęła guzik dzwonka, ale za drzwiami panowała cisza. Już zamierzała odetchnąć z ulgą, że nie musi odbywać tak trudnej rozmowy z Gibbem, kiedy drzwi otworzyły się bezszelestnie.

W narciarskim swetrze uwypuklającym szerokość barów Gibb wydawał się jeszcze wyższy. Nie wypowiedział ani słowa, tylko spoglądał pytająco.

Lindsay z trudem chwyciła oddech. W jego spojrzeniu było coś, co ją zupełnie rozstroiło. Nie mogła zgłębić wymowy tego spojrzenia. Nie było to napięcie ani nerwowość w dosłownym tego słowa znaczeniu, ale jakieś przyczajenie, jakby gotowość do skoku. Tak musi patrzeć pantera, która zamierza dopaść ofiarę...

- Przepraszam, że ci przeszkadzam, ale chciałabym z tobą porozmawiać... - wydusiła wreszcie z siebie.

Podniósł lekko brwi.

- Ależ oczywiście. Odstąpił od drzwi, weszła.

- Napijesz się kawy? A może kieliszek wina? Niczego więcej nie mogę ci w tej chwili zaproponować. Spiżarnia jest jeszcze pusta.

- Może być kawa.

Idąc po perskim dywanie rozłożonym w holu, rozglądała się ciekawie dokoła. Niegdyś piętra nad sklepami handlowych budynków okalających plac stanowiły labirynt wysoko sklepionych korytarzy, składów, składzików, pakamer i biur. Podczas renowacji zburzono

sporo ścian, pozostawiając wielkie przestrzenie, które można było następnie adaptować na sto różnych sposobów. Apartament Oliverów przypominał rozkładem mieszkanie Lindsay: wielki pokój zajmujący cały fronton budynku, spełniający funkcję salonu i jadalni z wydzieloną przestrzenią na kuchnię, a za nim wąski korytarz z drzwiami do kilku sypialni i do łazienki.

Podobieństwo kończyło się na rozplanowaniu przestrzeni. Mieszkanie Lindsay miało ciepłą atmosferę domową, było zdecydowanie przytulne, podczas gdy Oliverowie zdecydowali się na wystrój wzięty prosto z ilustrowanego magazynu proponującego ekskluzywne rozwiązania wnętrz.

- Trudno mi uwierzyć, że oni zgodzili się na wynajem - powiedziała Lindsay.

- Nie wszyscy zaliczają mnie do tej samej kategorii co dusicieli czy szaleńców z siekierami - odparł Gibb, wychylając się z wnęki kuchennej.

- Nie myślałam specjalnie o tobie. Dziwię się, że w ogóle wynajęli. Wiem, że Skye uważa cię za ósmy cud świata, ale że udało się jej przekonać rodziców... - Lindsay ugryzła się w język. No i po Co zaczyna go drażnić? Zaczęła więc od nowa: - Tak, dziwię się, że w ogóle wynajęli ten apartament komukolwiek. Pieniądze nie są im potrzebne, bo mają ich sporo, a tu są przecież muzealnie bezcenne antyki...

- Czy przyszedłeś w celu ostrzeżenia mnie przed zakusami Skye? - spytał wprost.

- Nie. Nie w tym celu.

- Nie? To doskonale, bo ja nie potrzebuję w tej sprawie żadnych ostrzeżeń.

- Nic mnie nie obchodzą kobiety, z którymi masz ochotę spędzać czas.

- Nawet mi to do głowy nie przyszło.

Słowa były pocieszające, ale ton podejrzany. Czy Gibb naprawdę myśli, że ona jest zazdrosna? Chyba nie jest taki głupi.

- Tobie nie, ale Skye mogło przyjść do głowy, że zamierzam cię odzyskać.

- A zamierzasz?

- Nie bądź śmieszny! Ale tak może myśleć Skye i pewnie zechce ci świadomie podsunąć, żebyś dla zabezpieczenia się przede mną spędzał z nią więcej czasu.

- Bierzesz mnie za naiwnego. Nie sądzisz, że rozpoznałbym próbę każdej manipulacji moją osobą?

- Zupełnie mnie nie obchodzi, czy rozpoznasz, czy nie. Nie przyszłam rozmawiać na temat twoich amatorów.

- Pozwolisz, moja miła, że jednak przypomnę ci coś: używałaś tych samych metod wobec mnie.

- To jest wierutne kłamstwo!

- To jest krystaliczna prawda. Od pierwszego dnia, kiedy zaczęłaś pracować w fabryce ojca i zobaczyłaś mnie w jego gabinecie, zaczęłaś snuć wokół mnie swoją pajęczą sieć. Jeśli tak się zachowywałaś w tym twoim ekskluzywnym college'u, to nic

dziwnego, że cię z niego wyrzucili. Zrobiła się purpurowa z oburzenia.

- To nieprawda, nie wyrzucili mnie. Tam był bardzo wysoki poziom, a ja miałam zbyt słabe stopnie, więc sama zrezygnowałam.

- I w nagrodę Ben kupił ci i urządził dom oraz zatrudnił w fabryce, żeby mieć na ciebie oko? - odparł Ben nie przekonany jej tłumaczeniem. - Ja tam wiem swoje... i to z własnego doświadczenia. Słyszałaś o czarnej wdowie? To taka cudowna pajęczycza... Jest w niej coś bardzo pociągającego. Musi być. Inaczej głupie samce nie wplątałyby się tak niefortunnie w jej pajęczą sieć. Ja miałem szczęście wyplątać się w porę i dwa razy nie dam się złapać.

- Wielkie brawa! - mruknęła Lindsay, urażona w swej dumie. Czy on naprawdę uważa, że małżeństwo z nią było równoznaczne z otarciem się o śmierć?

Nalał kawę do dwu filiżanek. Jedną podał Lindsay.

- Skoro nie przyszłaś tu, by kopać dołki pod Skye, to po co przyszłaś? Może zbierasz składki na swój klub? Usiądź, proszę. - Wskazał obite pluszową tkaniną fotele przed kominkiem.

- Od ciebie składek nie wezmę. Będiesz czymś w rodzaju członka honorowego. Oliverowie już zapłacili.

- Nie wymagam specjalnych względów. Chcę zapłacić.

- No to daj dziesięć dolarów i wystawię ci klubową kartę - odparła Lindsay, poirytowana całą rozmową i tonem wyższości Gibba.

Wyciągnął portfel.

- Od jak dawna tu mieszkasz?
- Od kiedy otworzyłam butik.
- A kiedy otworzyłaś butik?
- Gdy Beep miał rok. Ojciec sprzedał wtedy dom i pomyślałam sobie, że czas na zmianę w moim życiu.
- Do tego czasu pracowałaś w fabryce? Nastroszyła się.
- Nie ubiegam Cię o pracę u ciebie ani nie występuję w quizie.

Nie muszę odpowiadać na te twoje wścibskie pytania.

Wzruszył ramionami.

- Byłem po prostu ciekawy. Bardzo się zmieniłaś, Lindsay. Też jestem ciekawy, dlaczego.

- Wszystko to nie twoja sprawa, ale skoro już jesteś taki bardzo ciekawy, to ci powiem: Beep zmienił moje życie i zmienił mnie. Jestem szczęśliwa, że go mam.

- Wobec tego i ja jestem szczęśliwy, że wszystko tak dobrze ci się ułożyło. Masz to, czego pragnęłaś.

- Beep to wspaniały chłopiec. Niesłuchanie uczuciowy. I w tej sprawie właśnie przyszedłam. Chcę z tobą o nim porozmawiać. - Długo mieszała łyżeczką kawę, by zyskać na czasie i dobrze przemyśleć, co i jak ma powiedzieć. - Mam nadzieję, że podziękował ci za latawca.

- Podziękował i to bardzo ładnie. Tylko o to ci chodziło? A może zrobiłem coś złego, kupując dziecku latawca?

- Nie, nie. To był miły gest z twojej strony, ale chciałabym znać twoje intencje.

- Moje intencje?! Czy ja muszę mieć jakieś intencje, ofiarowując Benjaminowi latawca?

- Ach nie, oczywiście, że nie. Już raz ci powiedziałam: nie masz z nim nic wspólnego.

- Właśnie. Więc o co ci chodzi, do diabła? Zwykły latawiec, zwykły prezent, a robisz z tego wielką historię, jakbym popełnił przestępstwo.

- To nie latawiec stanowi problem, postaraj się to zrozumieć, Gibb! Chodzi mi o uczucia Beepa. On jest tobą zafascynowany. Jesteś kimś obcym, co czyni cię w jego oczach wyjątkową postacią wśród innych, niemal egzotyczną. Spodziewa się, że jego stosunki z tobą będą się rozwijać i utrwałać. Tego właśnie się obawiam.

- Może powinnaś przestać czytać mu na dobranoc bajki - odparł Gibb sucho.

Lindsay wstała.

- Powinnam się była spodziewać, że nic nie zrozumiesz - odparła zgnębiona. - Dziękuję za kawę. Nie będę ci dłużej przeszkadzała...

Bez słowa odprowadził ją do drzwi. Z dłonią na klamce obróciła się jeszcze do Gibba, ale nie spojrzała mu w oczy.

- Bardzo cię proszę, Gibb, zrób coś, żeby nie rozwijała się w nim nadzieja na trwałą przyjaźń z tobą.

- Nie mam zamiaru z nikim się zaprzyjaźniać. Chcę tu zrobić, co mam do zrobienia, i jak najszybciej wyjechać.

- Ja to wiem i ty to wiesz, ale Beep nie wierzy, że chciałbyś opuścić Elmwood, że nie chcesz się wiązać z żadnym miejscem. Nie wzniecaj w nim nadziei.

Nic nie odpowiedział.

Lindsay wracała ze spuszczoną głową. Nic nie osiągnęła. Gibb nic nie rozumie. Niepotrzebnie do niego chodziła. Sprawiała mu tylko satysfakcję, pozwalając domyślać się teraz, czym może jej dokuczyć i zranić. Wystarczy, że będzie utrzymywał kontakt z Beepem.

Gibb stał przy oknie i patrzył na Lindsay przemierzającą plac. Była już pod drzwiami „Bukietu”, kiedy podjechał samochód i wysiadł z niego Ben z Beepem. Chłopiec trzymał pod pachą kolorowe pudło. Gdy wszyscy troje zniknęli w budynku, Gibb powrócił do komputera, ale nawet nie zajął do stosu leżących obok klawiatury wydruków.

Przed oczami miał nadal twarz Lindsay. Piękną, zafrasowaną, wyrażającą ogrom uczucia, gdy mówiła o synu.

Gdy tu była, czuł lekki zapach truskawek. Był tym poruszony - powróciły wspomnienia. W dawnych czasach używała perfum „Namiętność nocy” za kilkaset dolarów uncja. Nie zapomniał kłótni, gdy któregoś miesiąca przyszedł rachunek za dwie uncje.

Ale teraz pachniała truskawkami i ten niespodziewany aromat był bardziej zmysłowy niż najdroższe perfumy. Musiał jak najszybciej od niej odejść do wnęki kuchennej w obawie... Przed czym? Że ten zapach zacznie go prześladować? I właśnie zaczął.

Nie poczuł od niej żadnego zapachu na przyjęciu poprzedniego wieczoru ani w butik. Na przyjęciu wszystkie kobiety były złane najrozmaitszymi perfumami, a w „Bukiecie” unosiły się w powietrzu wszystkie możliwe aromaty ziół i kwiatów. Nawet w restauracji „Pod Wierzbą” w piątek, kiedy pochylił się, aby pocałować Lindsay w policzek, nie poczuł żadnych truskawek, tylko uświadomił sobie delikatność jej skóry.

To był głupi pomysł, owo ostentacyjne całowanie w policzek. Zdenerwowała go kwaśną uwagą, że nie chce go widzieć, a on wziął szybki odwet, aby w publicznym miejscu wprowadzić ją w zakłopotanie. Nie spodziewał się, że to będzie miało dla niego jakieś znaczenie. Omylił się. Może myślał, że skóra jej policzków będzie twarda, sucha, a nawet nieprzyjemna w dotyku. To by mu ulżyło. A dotknął jakby najdelikatniejszej tkaniny. Dotknął takiej Lindsay, jaką pamiętał z małżeńskiego łóża...

Dziś, kiedy po raz pierwszy znaleźli się sami, bez świadków, z wielkim trudem powstrzymał się od pogłaskania jej, od muśnięcia wargami. Ten wysiłek go rozstroił i dlatego niemal brutalnie się jej pozbył, aby nie utracić nad sobą panowania i nie zrobić jakiegoś niewybaczalnego głupstwa.

W czasie jednej z ich małżeńskich kłótni, w ataku wściekłości, Lindsay mu oświadczyła, że chce się rozwieść. Nie zaskoczyło go to wówczas. Wiedział właściwie od samego początku, że nie jest dobrym kandydatem na męża. Kiedyś nawet postanowił nigdy się nie żenić.

Ale pojawiła się Lindsay i urzekła go swoją urodą. Przez pewien czas myślał, że jakoś wszystko się ułoży.

Ale okazało się, że miał rację. I że Lindsay też miała rację: nie był stworzony na męża. Nie był i nigdy się nie zmieni. Zmieniła się natomiast Lindsay. Miała teraz syna, syn był dla niej pępkiem świata. To, co istniało między Gibbem a nią, umarło, przestało istnieć.

Byłoby szaleństwem próbować się do niej zbliżyć... i pożądać jej.

Beep siedział ze skrzyżowanymi nogami na dębowej posadzce saloniku, bawiąc się zdalnie kierowanym samochodem, jaki mu tego popołudnia kupił dziadek. Wspaniały model, chyba jeden z najdroższych na rynku. Obaj, dziadek i wnuk, byli tacy uradowani, kiedy powrócili z nową zabawką do domu, że Lindsay nie miała serca robić ojcu wymówek. A potem już z miłością patrzyła na obu, zajętych kierowaniem pięknie wykonanego pojazdu.

Chwilami myśli jej uciekały... Nie mogła zapomnieć słów Gibba o tym, że zastawiła na niego sidła, uplotła pajęczą sieć, w którą go pochwyliła. Przecież ona nic podobnego nie zrobiła!

Miała wówczas zaledwie dziewiętnaście lat. Były to jej pierwsze miesiące na uniwersytecie. Radowała się nowym życiem i nowym środowiskiem, była szczęśliwa. Dopóki nie przyszły pierwsze semestralne oceny. Bardzo mierne. Do college'u przyjechał ojciec i oświadczył swej marnotrawnej córce, że nie ma zamiaru pokrywać

wysokich kosztów nauki, by ona mogła tylko się bawić i być ozdobą salonów.

Gdy Lindsay błagała, aby dał jej szansę, a ona w drugim semestrze na pewno się poprawi, ojciec jakby się wahał, ale w końcu powiedział twardo, że nie. Oświadczył: pozostaniesz co najmniej jeden semestr w domu i podejmiesz taką pracę, jaką może otrzymać osoba bez wykształcenia. Niech to posłuży ci za lekcję życia. A potem zobaczymy. Może po pół roku powrócisz na uniwersytet, ale pamiętaj, tylko po to, aby poważnie studiować.

Przez całą drogę do Elmwood Lindsay płakała i boczyła się na ojca. Pojawiła się w fabryce w najbliższy poniedziałek, ponieważ tak rozkazał ojciec, który specjalnie dla niej stworzył stanowisko w sekretariacie dyrekcji. Tak, pojawiła się, ale spóźniona o godzinę, naburmuszona i zdecydowana uczynić ojca równie nieszczęśliwym, jak ona. A czuła się bardzo nieszczęśliwa i pokrzywdzona decyzją Bena.

Ale jeszcze tego samego poranka Ben Armentrout poinformował ją, że zmienił zamiar i zamiast w sekretariacie będzie pracowała w biurze nowego kierownika działu. Wezwał Gibba i zapowiedział mu, że jeśli córka nie będzie należycie wykonywała swoich obowiązków, mają być wobec niej zastosowane surowe środki dyscyplinarne.

- Kto wie, czy wystarczą? Może przydałoby się nawet porządne lanie - oświadczył.

Lindsay rzuciła jedno spojrzenie na nowego szefa - wysokiego, niesłychanie przystojnego i bardzo poważnego jak na swój wiek - i

doszła do wniosku, że być może praca w fabryce nie okaże się taka zła.

Postanowiła z miejsca, że nim upłynie dzień, skłoni tego poważnego mężczyznę do uśmiechu. I kto wie, czy nie na tym by się skończyło, gdyby potrafiła od razu do tego doprowadzić. Udało się jej jednak dopiero po kilku dniach pracy wywołać jego serdeczny śmiech. A wtedy była już na śmierć zakochana w Gibbsonie Gardnerze. Rozpoznawała jego kroki w korytarzu, a ilekroć odzywał się do niej, wymagało wielkiej koncentracji zrozumienie tego, co mówi, gdyż sama barwa jego głosu wprowadzała ją w trans. I była gotowa zrobić absolutnie wszystko, aby wywołać uśmiech na jego ustach i uśmiech w spojrzeniu...

Poczuła teraz nagle, że staje w płomieniach. Przecież Gibb miał rację, mówiąc to, co powiedział tego popołudnia. Myśl ta pojawiła się jak objawienie. Tak, zastawiała na niego pułapki, plotła sieć tak delikatną i subtelną, że sama nie była tego świadoma.

Zajęło jej miesiąc skłonienie go, by zaprosił ją do kina. I skoro ma być teraz wobec siebie uczciwa, to musi przyznać, że to ona zainicjowała pierwszy pocałunek, gdy po seansie odprowadził ją pod drzwi domu, i postarała się, żeby to wyglądało na przypadek...

Ale następne pocałunki po tym pierwszym muśnięciu wargami nie były ani przypadkowe, ani z jej inicjatywy. Po przełamaniu lodów, inicjatywę przejął Gibb. I on ją nauczył, czym jest namiętność i czym może być pożądanie.

Beep zachichotał.

- Patrz, mamó! Spats goni za moim samochodem. - Zawrócił gwałtownie wozem, a czarne kocisko pognało w tym kierunku. - Spats zachowuje się jak pies!

Patrzyła na syna prawie niewidzącymi oczami. Mogła tylko sympatyzować z zafascynowaniem Beepa osobą Gibba. I rozumiała też zainteresowanie Skye przybyłym do Elmwood mężczyzną. W jego postaci, zachowaniu, w zawsze poważnym nastroju było coś, co przyciągało uwagę, a jednocześnie kazało dostrzec jakiś nieustający wewnętrzny smutek. Może nawet przerażenie światem. I każdy miał wówczas ochotę zaopiekować się nim, zbliżyć, wykrzesać z niego jakąś iskrę radości życia.

Lindsay nigdy nie zgłębiła źródła tego wewnętrznego smutku Gibba. Mało jej mówił o swoim dzieciństwie i latach przedmażeńskich. A prawdę powiedziawszy, nie dopytywała się. Była bardzo młoda i sprawy bezpośrednio jej nie dotyczące nie miały wtedy dla niej najmniejszego znaczenia. W przekonaniu, że potrafi go bez końca fascynować, wspólną przyszłość wyobrażała sobie bardzo różowo. Była pewna, że żadna przeszłość nie potrafi zakłócić przyszłego szczęścia. Mieli przecież w ręku wszystkie atuty - wzajemne pożądanie, prześliczny apartament i w pełni zabezpieczoną finansową przyszłość. Ben Armentrout już się o to postara.

Jedyna rzecz, której brakowało Lindsay do pełnego szczęścia, to dziecko. Ale Gibb kategorycznie odmawiał. Nie chciał nawet o tym rozmawiać. Oświadczył po prostu, że nie lubi dzieci i nie chce ich mieć. Lindsay oskarżyła go o krańcowy egoizm, Gibb zamilkł i to był

moment, od którego rozpoczęły się nieustanne kłótnie. Nigdy jednak nie dotyczyły bezpośrednio sprawy dzieci, zawsze czegoś innego. Gibb wygrał jedną rundę, ale zaczął przegrywać następne.

Milczenie na temat dziecka nie wygłuszyło pragnień Lindsay. Chyba wprost przeciwnie, pragnienia te się umocniły. Tłamsiła je w sobie, ale wszystko inne straciło blask. Częstotliwość kłótni wzrastała, a każda z nich czyniła ich małżeństwo coraz bardziej nieszczęśliwym, aż wreszcie nic nie pozostało z dawnych uczuć i Lindsay postanowiła położyć kres tej sytuacji.

Chociaż czuła, że zrobiła dobrze, rezygnując ze złudzenia rodem prosto z powieściowego romansu, załamała się i zaczęła staczać. W pierwszych miesiącach po wyjeździe Gibba zrobiła kilka rzeczy, których później było jej wstyd. Kilka bardzo głupich rzeczy! I nigdy nie wróciła na uniwersytet, ponieważ wtedy, kiedy już mogłaby, pojawił się Beep.

- Czas spać! - oświadczyła surowym głosem.

- Ooo, mamoo...! - Był to jednak tylko odruchowy protest

Beepa bez nadziei na pozytywny rezultat. Zaparkował zdalnie kierowany samochód pod niskim stolikiem i poczłapał do swego pokoju.

Beep nie był ani cudownym, ani doskonałym dzieckiem. Potrafił być krnąbrny i samowolny, tak jak niegdyś Lindsay. Bywało, że bardzo opieszale wykonywał swoje obowiązki, kłócił się na temat tego, co powinien, a czego nie powinien robić, i miewał napady

śmiechu, na który Lindsay reagowała tak, jak się reaguje na przeraźliwe skrzypienie drzwi.

Był jednak dobrym dzieckiem. I jej ocaleniem. Tak bardzo go pragnęła, że o własnych siłach potrafiła wycofać się z krawędzi przepaści. I w tejże samej chwili, kiedy jeszcze wyczerpana porodem po raz pierwszy trzymała go w ramionach, odczuła do dziecka bezgraniczną miłość. Zakochała się w niemowlęciu i przysięgła sobie, że nigdy nie zawiedzie tej bezradnej istotki, której los całkowicie od niej zależał.

Beep leżał już w łóżeczku, kot zwinięty w kłębuszek spał u jego stóp. Gdy wchodziła do pokoju, syn schował coś ukradkiem pod poduszkę. Kiedy się pochyliła, by go pocałować na dobranoc, sięgnęła pod poduszkę i wyciągnęła książeczkę z komiksami oraz malutką latarkę.

Popatrywała to na tę kontrabandę, to na Beepę, którego wyraz twarzy wyraźnie wskazywał, że intensywnie myśli, jak tu się wytłumaczyć i na jaki argument matka się nabierze.

- Chyba już omawialiśmy sprawę czytania pod kocem - mruknęła rozbawiona. - I mówiliśmy również o wyborze podkocowej lektury. - Przyglądała się okropnej jaskrawej okładce. - Wiesz dobrze, co myślę o takiej literaturze. O gwałcie i przemocy. Nie chcę więcej tego oglądać. Ani w komiksach, ani w telewizji.

- Ale to jest historia Tepiciela Zła, mamó. Oni są ci dobrzy...

- Wiesz co? Zabiorę to do siebie, przeczytam, a jeśli będzie dobre, to ci jutro oddam...

- Nie wyrzucaj tego, mamó!

- Zakładasz, że mi się nie będzie podobało?

- Ja wiem, że na pewno nie. Ale to nie jest moje. Pożyczyłem od Josha.

- W takim razie zwrócę to jego mamie. - Otuliła syna i raz jeszcze pocałowała w czołko. - Śpij dobrze, kochanie. Zostawić Spatsa, czy go zabrać?

- Zostaw. - Gdy gasiła światło, Beep głośno ziewnął.

Wróciła do saloniku i usiadła. Poczuli się nagle bardzo samotna. W mieszkaniu panowała absolutna cisza. Z ulicy nie dochodziły żadne odgłosy, stary dom gdzieś skrzypiał. Budynek sądu był ciemny, ale zawisł nad nim biały księżyc, pokrywając go sinym blaskiem.

Po drugiej stronie placu paliły się światła w mieszkaniu Oliverów. Gdy skoncentrowała wzrok, za nie zasłoniętym oknem dostrzegła ciemną sylwetkę pochyloną nad stołem.

No cóż, Gibb się śpieszy z robotą. Powiedział jej przecież po południu, że chce jak najszybciej wyjechać raz na zawsze z Elmwood.

Czekał na to z nie mniejszą niecierpliwością niż ona. W dniu, kiedy Gibb wyjedzie, Lindsay z radością zrobi rundę dookoła placu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Problemy fabryki Armentrouta nie były łatwe do rozwiązania i przez następne dni Gibb był całkowicie pochłonięty formułowaniem właściwych wniosków mogących ułatwić podjęcie koniecznych decyzji. We wtorek po południu opuścił wcześniej zakłady i wrócił do swego mieszkania, by wykonać kilka prywatnych telefonów. Nie było sensu niepokoić Bena ani też podsycać jego nadziei, póki nie powstanie pełen obraz sytuacji. Po zakończeniu rozmów telefonicznych Gibb miał zamiar usiąść w fotelu, położyć nogi na blacie stołu i zacząć rozważać przyszłość fabryki. W ciszy i spokoju lepiej można ocenić sytuację niż w fabrycznym zgiełku.

Miast rozważać przyszłość zakładów, zaczął myśleć o Lindsay. Wydawało mu się, że jeszcze pozostał po niej ów zapach truskawek, ale to było oczywiście złudzenie, czysta fantazja. I wiedział, że ryzykuje poważne komplikacje, wspominając uczucia i namiętności, jakie niegdyś wspólnie dzielili. Powinien raczej zacząć sobie wyliczać to wszystko, co ich różniło i poróżniło ostatecznie.

Nie potrafił jednak zapomnieć, jak rozpalał go jej zwykły dotyk. Ten sam ogień trawił jednocześnie resztki rozsądku, jaki jeszcze posiadał.

Wzajemne pożądanie, choć było tak intensywne, nie potrafiło jednak usunąć problemów, które rosły z dnia na dzień.

I chociaż Lindsay nadal pociągła go fizycznie, co odkrył też w ostatnich dniach, nie powinien ani na chwilę zapominać o tym wszystkim, co ich wówczas podzieliło i co nadal dzieli.

Nie powinien też mylić zwykłego fizycznego pożądania z uczuciami, które są potrzebne, aby dać szansę małżeństwu i jego przetrwaniu. Nie był zdolny wykrzesać z siebie takiego uczucia.

Tak, pożądanie to jedno. Rzecz niezbyt mądra, ale zrozumiała. Wpakowanie się w sytuację bez wyjścia, to już zupełnie co innego.

Rozległ się dzwonek. W pierwszej chwili, zamyślony, nie uświadomił go sobie. Gdy wreszcie doszło do niego, że ktoś zadzwonił do drzwi wejściowych, postanowił nie otwierać. Gdyby to był ktoś z fabryki, toby zatelefonował, a nikt inny nie miał prawa zakłócać mu spokoju.

Po dwu minutach dzwonek rozległ się po raz wtóry, tym razem natarczywiej. Gibb zaklął pod nosem i poszedł otworzyć.

Na wycieracze przed drzwiami stał radośnie uśmiechnięty syn Lindsay. Blond włosy prawie całkowicie zakrywała czapka baseballowa, przez ramię miał przerzucony tornister.

- Cześć, zobaczyłem pana samochód przed domem, więc przyszedłem się przywitać.

Okazuje się, że obawy Lindsay nie były płonne. Wspólne puszczenie latawca umocniło Beepa w przekonaniu, że znalazł sobie nowego towarzysza zabaw.

Gibb westchnął. Tak bywa, kiedy łamie się przyjęte zasady. Obiecał sobie, że nigdy nie będzie miał nic do czynienia z dziećmi, a

teraz musi zajmować się ośmiolatkiem, który w dodatku patrzy na niego jak na bohatera komiksu.

Uśmiech na twarzy Beepa zniknął. Chłopiec był inteligentny i z wyrazu twarzy Gibba zrozumiał, że nie jest mile widziany. Gibb pomyślał, że powinien być z tego zadowolony, bo to mu ułatwi odprawienie chłopca. Powie tylko, że jest zajęty, i sprawa załatwiona.

Nie potrafił tego zrobić, bo rozpoznał spojrzenie dziecka.

Gdyby był w nim gniew albo rozczarowanie, to pał sześć. Byłoby to skierowane przeciwko niemu i mógłby to wytrzymać. Ale oczy Beepa wyrażały coś zupełnie innego - głęboki ból i utratę pewności siebie. Dzwoniąc, Beep był pewny, że jest lubiany przez Gibba i że z radością zostanie przyjęty. Zawiódł się. Zawiódł go jego własny instynkt. I nad tym chłopiec bolał.

Lindsay prosiła, by nie rozpałał w jej synu nadziei na przyjaźń z dorosłym mężczyzną. Spóźniła się. Teraz trzeba rozmawiać z chłopcem bardzo ostrożnie, łagodnie.

- Wiem, że przyszedłeś mnie rozerwać, to bardzo miło z twojej strony, ale... - Gibb zdał sobie sprawę, że wychodzące z jego ust słowa brzmią twardo i nieprzyjemnie.

- Nie, nie. Przyszedłem zadać tylko pytanie. To nie zajmie dużo czasu. Może minutę... Później nie mógłbym tu wrócić, gdyby pan teraz nie miał czasu...

- Dlaczego? Ponieważ nie chcesz, żeby mama wiedziała o twojej wizycie?

- Chodzi o sekret. Teraz mama mnie nie szuka, bo wie, że po szkole gramy w piłkę nożną. Ale tak się złożyło, że nasz trener zachorował, więc wróciłem wcześniej i po drodze zobaczyłem pana samochód...

- Wejdz, Beep, ale tylko na kilka minut, bo jestem dziś naprawdę bardzo zajęty.

- To nie zajmie dużo czasu. - Beep wmaszerował do salonu i usadowił się na przepaścistej kanapie, na której wydawał się drobną bezbronną istotą. Gibbowi zrobiło się go żal. Przysunął sobie krzesło i usiadł na nim okrakiem, objąwszy rękami oparcie.

- Ja nie jestem pewien, czy twoja mama byłaby zadowolona, gdyby się dowiedziała, że mamy przed nią jakieś sekrety. Zastanów się, kolego.

- Ale to jest miły sekret, a nie taki, co by mógł zrobić komuś przykrość - zapewnił Beep.

Gibb westchnął.

- No cóż, mów. Ale zaraz potem będziesz musiał iść, bo moja robota czeka...

Nim chłopiec zdołał otworzyć usta, rozległ się dzwonek. Obaj, chłopiec i mężczyzna, obrócili głowy w stronę wejścia, a potem spojrzeli na siebie zaskoczeni. Gibb ponownie westchnął.

- Będą poważne kłopoty, jeśli to jest twoja mama...

- Chyba jej nikt nie powiedział, że trener jest chory, ale może na wszelki wypadek schowam się za kanapę.

- O nie! Nie zgadzam się. Jeszcze mi tego brakuje, żeby cię znaleziono w moim mieszkaniu, kryjącego się za kanapą. Co to, to nie.

- Kiedy ja widziałem w telewizji, jak jeden pan chował się w szafie u jednej pani, bo przyszedł jeszcze jeden pan. I świetnie się udało.

- Przerażasz mnie swymi pomysłami, młody człowieku - mruknął Gibb pod nosem i poszedł otworzyć.

Na progu stała Skye. Uśmiechnęła się, uniosła na palcach i pocałowała Gibba w policzek.

- Miałam nadzieję, że cię zastanę, mój drogi. Matka zadzwoniła dziś do mnie z Kuala Lumpur. Wyobraź sobie, że prosi, bym jej przysłała parę swetrów. Mają jechać w góry i... - Spojrzała w głąb mieszkania i zobaczyła wpatzonego w nią chłopca. - Ooo, co on tu robi? - spytała ostrym głosem.

- Przyszedł się poradzić. Właśnie byliśmy w trakcie debaty...

- Przez chwilę myślałam, że prawdziwe są plotki... - Zamilkła, zdając sobie sprawę, że popełniła błąd.

Plotki, że Beep jest moim synem, pomyślał, a głośno z uśmiechem odparł:

- To są fałszywe plotki. Rozpromieniła się.

- Odgadłeś, co chciałam powiedzieć. Jakiś ty mądry! A już się bałam, że Lindsay chce cię w coś wmanewrować. - Podeszła do kanapy i wyciągnęła rękę. - Cześć, młody człowieku!

Beep wygramolił się z kanapy i podał jej rączkę, mówiąc:

- Dzień dobry, panno Oliver.

- Jest przynajmniej dobrze wychowany - skomentowała Skye. - Zabiorę swetry i zmykam, aby panom nie przeszkadzać... w debacie.

Poszła do sypialni rodziców, a gdy w drodze powrotnej, z wypchaną torbą przechodziła przez salon, pochyliła się nad Gibbem i półgłosem zapytała:

- Mam na dziś wieczór przygotować dobre steki?

- Bardzo dziękuję, ale nie mogę, Skye. Mam zaległości. Huk roboty.

Zrobiła minkę rozkapryszonej dziewczynki.

- A ja tak bardzo chciałam... Poza tym musisz przecież od czasu do czasu jeść... - Przestała nalegać, widząc nieco zniecierpliwioną twarz Gibba.

Gdy zamknął za nią drzwi i wrócił do saloniku, Beep spytał:

- To z nią był pan na przyjęciu? Bo mama mówiła, że był pan z kobietą. Ale ta wcale nie jest ładna, a mama powiedziała, że był pan z bardzo ładną...

- Tak powiedziała? Hmm. No dobrze, ale może mi wyjawisz teraz cel swojej wizyty.

- Ten sekret to... Chodzi o to, że niedługo są mamy urodziny.

- Piętnastego kwietnia - uzupełnił Gibb mechanicznie.

- Pan wie, kiedy są mamy urodziny? - zdziwił się mały.

- Jakże można zapomnieć. Piętnasty kwietnia to ostatni termin składania zeznań podatkowych i tego dnia został zatopiony „Titanic”.

W oczach chłopca malowało się ogromne zdziwienie.

- Ale co to ma wspólnego z mamą? Ja nie bardzo rozumiem...

- Nic nie szkodzi. Więc co z tymi urodzinami mamy? Nie jestem specjalistą w obchodzeniu urodzin i nie wiem, czy mógłbym ci coś poradzić...

- To chodzi tylko o prezent dla mamy, ładny prezent. Ale ona ma wszystko w „Bukiecie”. Ma wszystko, co lubią panie.

- Masz rzeczywiście problem - zgodził się Gibb. - Nie wiem zupełnie, co ci poradzić. Powinieneś spytać dziadka. To bardzo mądry człowiek...

- Ale mnie nie chodzi o to, co jej kupić. To już wiem. Nawet wybrałem dla niej u pana Hendersona takie coś na szyję. Chodzi o to, że nie dostanę na czas mojego kieszonkowego i... W przyszłym miesiącu jest Dzień Mamy i też muszę na to zaoszczędzić. Więc sobie pomyślałem, że mógłbym dla pana popracować i coś zarobić. To jest ten sekret...

- Dlaczego nie popracujesz dla dziadka?

- Bo jak powiem dziadkowi, to on mi będzie chciał dać pieniądze bez roboty, a mama bardzo się gniewa, kiedy on mi je daje.

Gibb podniósł wysoko brwi. Lindsay odmawiająca przyjęcia pieniędzy od ojca, to zupełnie coś nowego!

- Mogę umyć panu samochód - podsunął Beep.

- Chyba wtedy, kiedy mnie zrobią świętym.

Beep chwilę się zastanawiał, co też może znaczyć ta odpowiedź i doszedł do słusznego wniosku, że Gibb nie chce mycia samochodu.

- Tak, mama mi mówiła, że siadając na zderzaku pana samochodu, mogłem coś zadrapać - odparł smutno. - Pan mnie wtedy tak ostro skrzyczał...

- Nie powinienem aż tak się zdenerwować. Przepraszam cię, Beep.

- No to, co mógłbym dla pana robić, żeby zarobić? - spytał chłopiec, ciągle nie tracąc nadziei.

- Sprawa jest bardzo poważna, Beep. Muszę ją rozważyć. Dam ci natychmiast znać, gdy coś mi przyjdzie do głowy.

Chłopiec przyjął to jako wiążącą obietnicę. Rozpromienił się, zeskoczył z kanapy i wyciągnął rękę.

- Przybijemy umowę? I niech pan pamięta, że to jest wielki sekret.

- Będę pamiętał. - Gibb patrzył w brązowe oczy i dziwił się sam sobie, że wykazał tyle cierpliwości w rozmowie z ośmiolatkiem. Odprowadził chłopca do drzwi, zaryglował je za nim, potem oparł się o framugę i długo myślał. Myślał o tym, w co się wpakował i co z tego wyniknie.

Kiedy w piątek rano Lindsay poszła obudzić syna, zastała go już w kuchni zajadającego płatki i palcem lewej ręki wędrującego po labiryncie wydrukowanym na tyle pudełka ze śniadaniowym przysmakiem.

- Co się dzieje? - spytała zdumiona.

- Wyjeżdżamy całą klasą w teren - powiedział dumnie. - Idziemy zwiedzać fabrykę dziadka.

Lindsay o tym pamiętała, ale nie rozumiała podekscytowania Beepa. Niemal od chwili urodzenia był w fabryce co najmniej raz w tygodniu.

- Myślisz, że spotkam tam Gibba, mamó?

O Boże! A już myślała, że o Gibbie zapomniał, bo w ciągu tygodnia ani razu go nie wspominał i chyba z nim się nie widział. Ona też nie spotkała Gibba, który, według słów jej ojca, siedział przez cały czas z nosem w wydrukach dotyczących problemów finansowych fabryki.

Lindsay zaczęła nawet myśleć, że jej prośba o trzymanie Beepa na dystans przyniosła skutek albo że Gibba i tak nic nie obchodzi poza zleconym mu zadaniem. Nawet zrobiło jej się troszeczkę przykro.

A teraz okazuje się, że Beep po prostu ukrywał swoje marzenie zobaczenia Gibba.

- Na pewno jest w fabryce, ale nie wiem, czy go spotkasz, synku. Dziadek mi mówił, że Gibb jest bardzo zajęty. I nie rób żadnych psikusów, żeby się dziadek nie musiał za ciebie wstydzić. Ja też tam będę.

- Ty będziesz?

- Oczywiście. Jakże bym mogła nie towarzyszyć twojej klasie podczas tak interesującej wyprawy. Ale nie pojedę z wami autobusem. Spotkamy się na miejscu.

- Przecież jazda autobusem to najlepsza część wycieczki - dowodził Beep.

Na szczęście jazda, a nie ewentualne spotkanie z Gibbem, pomyślała.

Czekała już na fabrycznym podwórzu, gdy zajechał żółty szkolny autobus i wysypała się z niego gromadka uczniów trzeciej klasy.

Kathy Russel była wprost uszczęśliwiona, widząc Lindsay.

- Jesteś kochana, że przyszałaś. Wyobraź sobie, że trzy matki, które miały mi towarzyszyć, w ostatniej chwili odmówiły. Zostałam sama. Więc będę prowadziła całą tę czeredę, a ty ich z tyłu popędzaj, żeby nie zostawali gdzieś tam po drodze.

- Dobrze, Kathy, chętnie ci pomogę.

- A potem muszę z tobą porozmawiać w ważnej sprawie.

Rodzice jednego z moich maluchów są bez pracy. Gdyby twoja Fundacja mogła pomóc...

- Oczywiście, nie mamy teraz zbyt wiele na koncie, ale coś się wykrobie...

- Właśnie, może to coś wystarczy. Na buty dla dziecka i nową kurtkę. Żeby chłopak nie chodził obdarty wśród innych, lepiej ubranych. To w tym wieku jest niesłychanie ważne...

Z budynku administracji wyszedł Ben Armentrout i powitał dzieciarnię, która mu chórem odpowiedziała „dzień dobry”.

Lindsay już ze sto razy oprowadzała gości po fabryce - dzieci, lokalnych i federalnych dygnitarzy, a raz nawet wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych i jego świtę. Ben Armentrout czynił przy tym zawsze honory pana domu. Dziwne, ale najbardziej lubił wycieczki

dzieci szkolnych - z zapalem im wtedy wyjaśniał podstawy wiedzy o elektryczności i bateriach magazynujących energię.

Po powitaniu i kilku zarcikach grupa wyruszyła. Idąca za wszystkimi Lindsay była czujna, bo chociaż dzieci przysłuchiwały się uważnie wyjaśnieniom Bena, w każdej chwili któreś mogło skrócić gdzieś w bok, zwabione jakimś interesującym je widokiem.

Nigdzie nie zauważyła Gibba, więc zdziwiła się, kiedy nagle usłyszała jego głos tuż za sobą:

- Ben cieszy się jak dziecko...

- To jego żywioł - odparła zwykłym tonem, jakby toczyli rozmowę już od dawna. - On uwielbia dzieci. Najlepiej, jakby miał cały tuzin wnuków...

- Które z was może powiedzieć, dlaczego pewne baterie nazywa się suchymi? - zagrział donośny głos Bena.

Podniosło się kilka rąk, ale Lindsay przestała słuchać, bo znała na pamięć wszystkie pytania i odpowiedzi.

- Jestem ci bardzo wdzięczna, że zostawiłeś Beepa w spokoju - powiedziała, patrząc Gibbowi głęboko w oczy.

Coś w nich rozbłysło i to ją poważnie zaniepokoiło, ale odetchnęła, gdy odpowiedział:

- Nie ma w tym mojej zasługi. Po prostu w tym tygodniu nie miałem na nic czasu.

- Wiem. Ojciec mi powiedział, że harujesz. Nawet się dziwię, że masz czas na uczestnictwo w szkolnej wycieczce.

- Ależ nie, ja wcale nie tracę czasu, obserwuję proces produkcyjny. Wyłapuję elementy marnotrawstwa materiału i czasu roboczego. Po prostu znalazłem się na szlaku waszego zwiedzania fabryki.

Z tłumku dzieci wyslizgnął się Beep i z radosnym uśmiechem podbiegł do Gibba.

- Cześć! Miałem nadzieję dziś pana spotkać.

Gibb dostrzegł niemal błagalny wzrok Lindsay. Odwrócił się do chłopca i powiedział:

- Po pierwsze, możesz mi mówić Gibb, jak już zresztą się do mnie zwracałeś, a po drugie, jak fruwa latawiec?

- Niezbyt dobrze bez pana, to znaczy bez ciebie, Gibb. Lindsay poczuła zakłopotanie. Beep się wyraźnie wpraszał.

Co teraz zrobi Gibb?

- To tylko twoja imaginacja, synu... - usłyszała odpowiedź.

Powiedział do niego „synu”!

Lindsay się przeraziła.

- Czy już zapomniałeś - ciągnął Gibb - że to ja źle oceniłem prądy powietrza i niemal owinąłem linkę latawca wokół wieży budynku sądu?

- Ale by się zdziwili strażacy, gdyby ich wezwano do ratowania latawca! - mruknęła Lindsay.

- Ale to by było fajnie! - wykrzyknął Beep.

- Beep, twoja klasa już daleko odeszła. Musimy ich dogonić. -
Lindsay ujęła chłopca za rękę i chciała go za sobą pociągnąć, ale mały opierał się.

- Pójdiesz z nami, Gibb? - rzucił za siebie pytanie.

- Przykro mi, Beep, ale mam pilną pracę.

- To może zobaczę cię podczas weekendu?

Lindsay nie mogła znieść tej nuty głębokiej nadziei w głosie dziecka.

- Nie licz na to, kochanie, Gibb ma dużo pracy... Chciała odejść, ale Gibb chwycił ją za ramię.

- Leć do kolegów, Beep. Porozmawiam z tobą później, teraz chcę zamienić parę słów z twoją mamą - powiedział.

Beep niechętnie odszedł.

- Może byś mnie puścił i przestał robić mi siniaki. - Lindsay była wściekła. - Muszę pilnować dzieci, żeby się nie rozchodziły.

- Zajmie mi tylko kilka sekund powiedzenie tego, co chcę, żebyś dobrze zrozumiała. Nie wyjaśniaj w moim imieniu Beepowi, czy jestem zajęty, czy też nie, a mnie nie mów, jak mam się zachowywać.

- Chcę ochronić Beepa przed rozczarowaniem. Sam mi powiedziałeś, że nie masz czasu ani ochoty na zabawy z dziećmi.

- Ale nie potrzebuję pośrednika, żeby to wyjaśnić Beepowi. Sam potrafię to zrobić. Czego ty się właściwie boisz, Lindsay? Czy naprawdę sądzisz, że mogę być tak okrutny, by rozpalić nadzieje chłopca, a potem świadomie je zniszczyć? - Mówił spokojnie i

łagodnie. - A może ty się boisz, że tego nie zrobię? Że go nie zawiodę?

- Wcześniej czy później musiałbyś go zawieść. Nie jesteś zdolny do czegoś innego. - Obróciła się na pięcie i odeszła. Instykt jej podpowiadał, że Gibb stoi w miejscu i patrzy za nią i za dziećmi.

Zwiedzanie fabryki trwało godzinę i zakończyło się w fabrycznej jadalni, gdzie Ben każdemu dziecku ofiarował po malutkiej, napędzanej baterijką zabawce czyniącej wielki jazgot.

- Jakie to szczęście, że dzieci wracają prosto do domu - mruknęła Kathy. - Nie wytrzymałabym w klasie z dwudziestoma dwoma piszczącymi i gwizdzącymi potworkami.

- I z dwudziestoma dwoma żywymi potworkami wyrażającymi radość z powodu tego hałasu. Proponowałam ojcu, żeby ofiarował małe latarki czy coś podobnego, ale on uwielbia te zabawki. Czasami podejrzewam, że sam się nimi bawi w ciszy swego gabinetu, chociaż go jeszcze nigdy na tym nie złapałam.

Ostatnie jej słowa usłyszał Dave Jonas, który w automacie obok kupował baton.

- Cicho, sza! Nie mówcie o zabawkach temu konsultantowi, bo w ramach oszczędności skasuje prezenty. Już mówią, że zamierza zlikwidować automaty z bezpłatną kawą.

- Gibb nigdy by nie zrobił podobnej rzeczy. To byłaby zwykła złośliwość w stosunku do pracowników... a oszczędności małe.

- Cholernie bronisz tego faceta!

- Nie bronię, ale stwierdzam, że Gibb nie jest głupi i wie, że nie wolno aż tak gnębić pracowników. Strata na wydajności pracy byłaby znacznie większa niż ewentualny zysk z likwidacji automatów.

- A co go to w gruncie rzeczy obchodzi - upierał się Dave. - On dziś tu jest, a jutro już go nie będzie. Może i masz rację, że maszynki do kawy to dla niego pestka. Może rzeczywiście myśli nad innymi sposobami zaoszczędzenia. Bardziej drastycznymi... Słyszałem, że starannie przegląda każdą umowę o pracę. - Dave zajął miejsce przy sąsiednim stoliku i ciągnął dalej: - Uważam, że ktoś powinien ostrzec tego Gardnera, że ingerencja w płace obwarowane umowami może nie wyjść mu na zdrowie.

Lindsay poczuła ucisk w okolicach serca.

- Dave, to brzmi jak groźba!

- Bo może to jest groźba. I nie patrz tak na mnie, Lindsay. Nie ja to wymyśliłem. Ja tylko powtarzam...

Po opuszczeniu jadalni Lindsay poszła na górę do biur. Skoro już tu jest, może odebrać korespondencję Fundacji.

Ojciec obiecał, że przyniesie listy, ale w nawale innych spraw zapomniał.

Sekretarki ojca nie było, ale Lindsay wiedziała, gdzie znajduje się segregator Fundacji. Znalazła w teczce „do załatwienia” dwie prośby o wsparcie, wyciąg bankowy i kilka dokumentów wymagających jej podpisu. Chciała to zrobić na miejscu, więc otworzyła szufladę biurka sekretarki, żeby wziąć pióro. W tym momencie otworzyły się drzwi gabinetu ojca i usłyszała głos Gibba:

- Podaj mi, Luizo... - I po ułamku sekundy: - Znalazłaś to, czego szukałaś, Lindsay?

Mimo woli zaczerwieniła się na tę zawartą w podtekście insynuację.

- Znalazłam. Szukałam pióra, żeby podpisać dokumenty Fundacji. Masz coś przeciwko temu?

- Nie znalazłaś, bo nie masz niczego w ręku. Pióra są tam! - Palcem wskazał pojemnik z różnymi piórami.

Podpisywała dokumenty drżącą ręką. Gibb miał przedziwną umiejętność wprowadzania jej w stan zakłopotania. Ten nowy Gibb! Stary Gibb tego nie potrafił. Teraz stał nad nią i przyglądał się.

- Jest ojciec? - spytała.

- Jeszcze nie wrócił. Jest z dziećmi.

- Dzieci dawno odjechały. Zostawię mu wiadomość, jeśli będziesz łaskaw pozwolić mi wziąć kartkę papieru z szuflady biurka sekretarki - powiedziała ironicznie.

- A może ja mu przekażę wiadomość? Albo za niego załatwię?

- Wątpię, abyś mógł to wiedzieć. Chcę poznać wysokość przyszłomiesięcznej wpłaty dla Fundacji... - Znalazła bloczek kartek, wyrwała jedną i zaczęła pisać. - Potrzebna mi jest ta wiadomość, żebym mogła radzie przedstawić pewną propozycję z moją rekomendacją - dodała, złożyła kartkę i położyła na biurku.

- Chyba planujesz dalej w przyszłość niż tylko na miesiąc? - spytał.

- Nigdy nie trzymamy nic w rezerwie. Zarabia na tym jedynie bank. Dostajemy miesięczną wpłatę na konto i rozdajemy potrzebującym.

- Więc pozostawiacie na lodzie potrzebujących nagłej, doraźnej pomocy?

- My takich wypadków prawie nie mamy. Gmina jest mała. Wiadomo, kto jest w potrzebie i ten ktoś zawsze może trochę poczekać.

- No, ale są wypadki losowe...

- Widzę, że we wszystko wtykasz nos. Czytałeś także pocztę Fundacji - stwierdziła oskarżycielskim tonem.

- Muszę znać wszystkie aspekty działalności gospodarczej przedsiębiorstwa - odparł nieporuszony.

- Fundacja ma własną osobowość prawną.

- Formalnie tak, ale z chwilą, gdy zasilana jest procentem zysków przedsiębiorstwa, staje się to także moją sprawą. Może wejdiesz do mojego biura, gdzie będziemy mogli spokojnie pomówić o tym wszystkim?

- Do twojego biura? Na drzwiach widzę jeszcze nazwisko ojca. Sądziła, że będzie zmieszany swoim potknięciem, ale tylko wzruszył ramionami.

- Cała dokumentacja została przeniesiona do gabinetu twojego ojca, a ja tam pracuję, więc w pewnym sensie, póki tu jestem, jest to moje biuro.

Było to logiczne, ale nie rozwiało obaw Lindsay. Nic dziwnego, że i pracownicy byli zaniepokojeni. Też mają wrażenie, że Ben Armentrout przestał rządzić, oddając całą władzę i prawo decyzji Gibbowi.

Choć niezadowolona, weszła jednak do gabinetu. Nie przyjęła oferowanego jej miejsca na skórzanej kanapie. Rozglądając się dokoła, spytała kwaśno:

- Czy firma Triangle zawsze tak postępuje? Wysyła swoich ludzi do jakiegoś zakładu i oni tam przejmują wszystko od strychu do piwnic, łącznie z kluczami do szafek i z pułapkami na szczury?

- Zwłaszcza to ostatnie jest ważne. W jaki sposób mamy wywiązać się z kontraktu i uratować upadające przedsiębiorstwo, jeśli nie pozbędziemy się wszelkich gryzoni niszczących fundamenty? I zawsze musimy mieć wolną rękę w podejmowaniu decyzji.

- Ta fabryka nie jest upadającym przedsiębiorstwem. Ma pewne trudności, to prawda, ale nie znajduje się na skraju przepaści.

- Ośmielałam się mieć inne zdanie. Już dawno fabryka by zbankrutowała, gdyby nie wydział produkujący małe baterijki, których używa się w gospodarstwach domowych i do uruchomienia zabawek. Czy wiesz, jak olbrzymi procent produkcji akumulatorów fabryka sprzedawała przemysłowi wojskowemu? Teraz to się skończyło, bo skończyła się Zimna Wojna.

- Nie pomyślałam o tym.

- Bo ty zawsze myślałaś tylko o tym, jak wydawać pieniądze z zysków.

- Gibbie Gardnerze, nie pozwalaj sobie...

- Właśnie w tym celu pozwoliłem sobie ciebie tu zaprosić - ciągnął dalej, puszczając mimo uszu wybuch Lindsay. - Sprawa zysków! Otóż w tej chwili, moja droga, nie ma żadnych zysków. W związku z tym twoja Fundacja nie otrzyma ani centa. I jeśli moją radę weźmiesz sobie do serca, to nie będziesz liczyła na żadne wpłaty przez wiele następnych miesięcy.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Pod Lindsay ugięły się kolana. Opadła ciężko na skórzany fotel.

- Robisz mi to chyba na złość, Gibb! Chcesz się na mnie odegrać.

- Nie, Lindsay - smutno pokręcił głową. - Mogę ci pokazać księgi rachunkowe. Nie ma żadnego zysku. W tym miesiącu wpływy ledwo zrównoważą koszty. I to niemalże cudem, biorąc pod uwagę fakt, że od blisko roku główna linia produkcyjna przynosi straty.

- To jest jakaś bzdura. Wiem, że zyski zmały, i dlatego ojciec zawarł kontrakt z Triangle, ale sytuacja wcale nie jest taka tragiczna, jak usiłujesz to przedstawić. A poza tym, nie możesz likwidować Fundacji.

- Dlaczego nie mogę? Ponieważ tobie to nie odpowiada? Wbijże sobie wreszcie do głowy, Lindsay, że podejmowane przeze mnie decyzje nie mogą wiecznie uwzględniać twoich interesów. Muszą mieć uzasadnienie ekonomiczne.

- Zupełnie nie o to mi chodzi. Jeśli ludzie usłyszą, że nie ma pieniędzy na Fundację, wpadną w panikę. Wszyscy wiedzą, że Fundacja jest zasilana z zysków przedsiębiorstwa. Równie dobrze możesz ogłosić bankructwo przedsiębiorstwa. Bank zażąda natychmiastowej spłaty kredytów. I lepiej ogłoś to bankructwo, przynajmniej będziemy mieli raz na zawsze wyjaśnioną sytuację.

Gibb zmarszczył brwi.

- Błyskotliwy pomysł, ustanowienie Fundacji na bazie procentu od zysków. I pewno całe Elmwood wie, jaki to jest procent, więc może dokładnie obliczyć sobie zyski fabryki. Ale głupota!

- Wcale nie. Nikt nie wie, jaki to jest procent.

- Nie robiłbym na ten temat zakładów. No cóż, za późno na żale. W każdym razie to mi wyjaśnia, co twój ojciec zrobił w ubiegłym miesiącu.

- Co to znaczy? Powiedziałam ci, że w ubiegłym miesiącu fabryka wykazała zysk. Niewielki, ale zysk. I Fundacja otrzymała wcale niezłe pieniądze. I teraz, po trzydziestu dniach, chcesz, żebym uwierzyła, że żadnego zysku nie ma? Co się nagle zmieniło? To ty musiałeś coś zmajstrować.

- Według ciebie fałszuję dane, aby przedstawić sytuację gorszą, niż jest w rzeczywistości?

Nie odpowiedziała.

- Więc coś ci powiem: w ubiegłym miesiącu też nie było żadnego zysku. A twój ojciec z obrotowych pieniędzy wpłacił datek

na Fundację. I w dodatku starannie to ukrył, zonglując przelewami z konta na konto.

- Zarzucasz mu malwersację?

- Ależ skąd! To jego fabryka. Nie uczynił nic karalnego ani nawet nieetycznego, okradł tylko sam siebie.

- No więc po co ten cały hałas?

- Okradając siebie, pogorszył sytuację własnej fabryki.

Zmniejszył płynność kapitałową. I źle zrobił, że ci o tym nie powiedział. Najprawdopodobniej nie chciał cię martwić. Może miał nadzieję, że w tym miesiącu sytuacja się poprawi i że nie będziesz musiała o niczym wiedzieć. Ale sytuacja się nie poprawiła, moja droga. Jest jeszcze gorsza.

- I ty mnie o tym z wielką satysfakcją zawiadamiasz.

- Nie odczuwam żadnej satysfakcji. Uważam tylko, że Ben Armentrout powinien raz na zawsze zaprzestać ochraniać swojej jedynaczki przed faktami. Smutnymi faktami!

W głębi serca Lindsay przyznawała Gibbowi rację. W przeszłości ojciec zawsze na nią chuchał i dmuchał. Tak, ale to było w przeszłości... To nie jest dostateczna podstawa, by Gibb teraz tak surowo go osądzał.

- Nie mogę zapomnieć, że masz osobisty interes, by chcieć bankructwa fabryki... A jeśli nie bankructwa, to jej złego wizerunku...

- Ja miałbym mieć jakiś osobisty interes?

- Im gorzej wyjdzie fabryka, tym większym bohaterem będziesz ty w oczach szefów Triangle, jeśli ją uratujesz przed katastrofą.

- Taka argumentacja jest nie bez racji - odparł spokojnie. -
Zakładając oczywiście, że uda mi się ją uratować.

- Zdecydowałbyś się na likwidację przedsiębiorstwa? - spytała
przerażona.

- Co to, to nie.

Odetchnęła. Gibb chciał ją tylko przestraszyć. Fabryce nic nie
grozi.

- O zamknięciu nie ma mowy. Po prostu należałoby sprzedać
wydział przynoszący zysk, a resztę...

- Ojciec nigdy się na to nie zgodzi.

- Przerwałaś mi! A reszta pójdzie na złom. I ojciec nie ma już
nic do powiedzenia. Ja mam prawo podjęcia ostatecznej decyzji.

Patrzyła zbulwersowana.

- Takie są, moja droga, warunki kontraktu z Triangle. Triangle,
przyjmując zlecenie uzdrowienia sytuacji, stawia warunek, że nasze
decyzje są nieodwołalne i że właściciel czy właściciele
przedsiębiorstwa temu się podporządkują. Oczywiście zawsze wolimy
uratować firmę, bo na tym więcej zarabiamy. Ale bywa, że jest to
niemożliwe.

- I ty z góry zakładasz najgorsze.

- Absolutnie nie. W tym wypadku także nic jeszcze nie
zakładam. Ostateczny wniosek będzie zależał...

- Od czego? Czy ty przypadkiem nie usiłujesz mnie szan-
tażować?

Roześmiał się sucho.

- Nie, moja droga. Nie masz nic takiego, co bym chciał od ciebie otrzymać. Chyba że... - Ześlizgnął się ze skraju blatu biurka i pochylił nad Lindsay.

Poczuła się jak zaszczute zwierzę. Nie poniechała jednak obrony.

- A jeśli bym zadzwoniła do prezesa Triangle i powiedziała mu, że mając do mnie osobisty uraz, usiłujesz wyrzucić presję?

- Nie bądź śmieszna. W moim działaniu nie ma prywatnej motywacji ani nie kierują mną osobiste urazy. Gdyby tak było, to wiesz, co bym zrobił? To.

Pochylił się nad nią jeszcze niżej. Siedziała jak sparaliżowana. Pomyślała, że tak musi się czuć szarak dopadnięty przez sforę psów pośrodku pustego pola. Nie zauważyła jego następnego ruchu, a gdyby nawet zauważyła, też nie potrafiłaby zareagować, gdyż wszystko w niej zastygło. Nieoczekiwanie dla niej objął ją ramieniem, niby stalową obręczą, i zwarł swe usta z jej ustami. Pocałunek był namiętny, gorący i bezlitosny. Drugą dłonią objął tył jej głowy, by nie pozwolić na najmniejszy ruch.

Usiłowała walczyć, bijąc Gibba pięściami po plecach, ale on nie zwracał najmniejszej uwagi na ten słaby w istocie gest obronny.

Pocałunek trwał najwyżej pół minuty, ale Lindsay wydawało się, że minęło kilkanaście minut, bo zdążyła przypomnieć sobie prawie wszystkie pocałunki Gibba w przeszłości. Ten, choć był zupełnie inny, miał z tamtymi wiele wspólnego. Żar i namiętność.

Puścił ją i Lindsay instynktownie zasłoniła usta dłońmi, aby ukryć ich drżenie. Sobie jednak wmawiała, że trzęsie się ze złości i że nie powinna tego ukrywać. Zamachnęła się, chcąc uderzyć Gibba otwartą dłonią, ale chwycił jej rękę w nadgarstku i usadził ją z powrotem w fotelu.

- Chciałem ci udowodnić, że w moim postępowaniu w fabryce nie było śladu urazu.

Zauważyła, że mówi ochrypłym głosem.

- Jeśli zrobisz to jeszcze raz... - zaczęła.

- To był jednorazowy pokaz, Lindsay. Kontynuacja tylko na wyraźne życzenie. I była to jednocześnie ilustracja, jaki musiałbym być głupi, by od czegoś podobnego uzależniać moje decyzje.

Lindsay w milczeniu przełknęła tę ostatnią uwagę, w której dostrzegła akcent niesmaku. Już dawno straciła resztkę złudzeń na temat uczuć Gibba wobec niej. Niegdyś była dla niego wszystkim. A on dla niej. Przykro teraz wiedzieć, jak jej nienawidzi.

Wziął z biurka firmowy bilet wizytowy i na jego odwrocie coś napisał. Podając kartonik powiedział:

- Masz tu numer telefonu Triangle. Proponuję, abyś zadzwoniła do...

- O nie! Teraz wiem, że jeśli bym to zrobiła, postarałbyś się, żeby na tym ucierpiał ojciec.

- Nie należę do ludzi, którzy przenoszą urazy do jednej osoby na całą jej rodzinę. - Przestał mówić ostro. Teraz przemawiał jak do dziecka. - Uraz mógłbym mieć tylko do ciebie, co nie zrobiłoby

wielkiej różnicy w naszych i tak już naprężonych wzajemnych stosunkach.

Po południu Lindsay poszła do butik, ale wszystko szło jej opornie i opieszale. Rozsadzała ją wściekłość na Gibba.

Tak, dominującymi uczuciami była wściekłość oraz wielki ból. Bynajmniej nie fizyczny, bo chociaż Gibb unieruchomił ją w swoich objęciach, starał się to zrobić delikatnie, bez zbytej przemocy. Odczuwała ból psychiczny, a jego powodem było zawalenie się jej życia, które budowała sobie przez dziewięć lat. Pocałunek Gibba spowodował przerwanie tamy. Rwąca falą wdarły się dawne pragnienia i wspomnienia. Ze wszystkich stron atakowała ją przeszłość, odrodziły się obrazy wspólnych wspaniałych chwil, momentów prawdziwego szczęścia i zaspokajanego pożądania.

Chyba zwariowała, pławiąc się w wyidealizowanych myślach o dawno zapomnianej i odrzuconej przeszłości! Czuła teraz najprawdziwszy ból serca. Czy to możliwe? Czy to możliwe, aby jeden nie chciany pocałunek, do którego została zmuszona siłą, mógł otworzyć dawno zabliznowaną ranę i zabołec jak pchnięcie sztyletem?

Do wściekłości doprowadzało Lindsay to, że raz jeszcze Gibb pokazał, iż posiada więcej samokontroli niż ona. Oprócz tego chwilowego zachrypnięcia po pocałunku, wydawał się absolutnie opanowany. Nawet zimny i z dystansem. W przeszłości zachowywał się podobnie. Nigdy nie ponosiły go nerwy. Bez względu na to, jak mógł być zły, nigdy tego po sobie nie pokazywał. Tym razem było

podobnie. Pocałunkiem obwieścił jej, co miał do obwieszczenia, i uważał, że sprawa jest zamknięta. W tej chwili pewno siedzi sobie spokojnie nad dokumentacją fabryki, dawno zapomniawszy o pocałunku i samej Lindsay.

Lindsay natomiast miała wrażenie, że w jej mózgu terkocze projektor ze starą taśmą filmową, bez dźwięku, w zwolnionym tempie, a obraz migoce... I nie potrafiła projektora wyłączyć...

Pochłonięta myślami, zapakowała prezent ślubny w papier z obrazkami grzechotek i klocków. Zażenowana, gorąco przeprosiła, gdy klientka zwróciła jej z uśmiechem uwagę. Przytaknęła innej klientce, gdy ta skarżyła się, że wiosenna zawierucha jest nie do zniesienia, a w pół minuty później przekonywała tę samą osobę, że wreszcie nadszedł piękny wiosenny dzień. Złapawszy się na tym, bezradnie rozłożyła ręce.

Gdy została sama w sklepie, oparła się łokciami o kontuar i pomyślała, że życie i moce, które nim kierują, są wysoce niesprawiedliwe. Przecież ona teraz nie powinna czuć się zawstydzona czy zmieszana, ale oburzona i urażona. Gibb nie miał prawa zrobić tego, co zrobił. To był niewybaczalny postęp. Ale stało się i odstać nie może.

Przez całe popołudnie odczuwała tego skutki w postaci owego filmu z przeszłości, przyplływów fal wściekłości i ponurych wniosków na przyszłość. I żalu, że przyszłość będzie smutna. Wszystko dokoła niej miało odniesienie do przyszłości. Gdy zaparzyła sobie kawę, pamięć podsunęła, że Gibb pił zawsze bardzo mocną. Ciepłe

promienie słońca przenikające przez sklepową wystawę przypomniały miodowy miesiąc z Gibbem na Karaibach, a wybijane godziny na kościelnej wieży przywołały natychmiast obraz ich ślubu w tymże kościele... ciepło ramienia ojca prowadzącego ją do ołtarza, śliskość satyny sukni ślubnej, zapach róż w trzymanym przy piersi bukietcie i wreszcie miłosne spojrzenie Gibba, czekającego na nią na stopniach ołtarza.

Jakie to dziwne, że można sobie przypomnieć to wszystko w najdrobniejszych szczegółach! Młodsza twarz Gibba, bez śladów srebra na skroniach, bez tej pewności siebie, którą obnosił teraz. Był wówczas... O Boże, że też tego przedtem nie rozszyfrowałam, pomyślała. Przecież on wydawał się zaskoczony! Jakby nie wiedział, skąd i jak znalazł się przed tym ołtarzem. Jakby obudził się z głębokiego snu i jeszcze w pełni nie oprzytomniał, by móc zareagować.

Może chciał się wtedy w ostatniej chwili wycofać? Szkoda, że tego nie zrobił. Doraźnie byłby skandal, ale na dłuższą metę wyszłoby to obojgu na dobre.

- A może to ja powinnam była wziąć nogi za pas i uciec? - Nawet nie zdawała sobie sprawy, że myśl tę wypowiedziała głośno.

- Dokądże chcesz uciekać? - spytał Ben Armentrout.

Lindsay aż podskoczyła. Była tak zatopiona w myślach, że nawet nie usłyszała dzwoneczka nad drzwiami.

- Dokądkolwiek, byle daleko stąd... Ojciec wyczuł rozpacz w jej głosie.

- Byłoby bardzo smutno i samotnie bez ciebie i Beepa - powiedział ciepło. - Przyniosłem ci listy do Fundacji. Zostawiłaś je na biurku Gibba.

- Dziękuję, tato. Ale Fundacja...

Przez chwilę milczał, potem westchnął.

- No cóż. Tak to w życiu bywa. Gibb ci wszystko powiedział?

Skinęła głową.

- Dlaczego nie mogłam dowiedzieć się tego wcześniej od ciebie? Uniknęłabym upokorzenia.

Wzruszył ramionami.

- Może nie chciałem się przyznać nawet samemu sobie.

Wiedziałem, że jest źle, ale miałem nadzieję, że dla Fundacji coś się jeszcze wykroi.

Gibb powiedział, że Ben powinien przestać chronić i osłaniać córkę, nawet gdyby ceną było jej rozczarowanie ojcem.

- A w zeszłym miesiącu? Fabryka też nie wykazała zysku...

- Po prostu chciałem ci oszczędzić zmartwień. - Uśmiechnął się blade.

- A może obawiałaś się, że przestanę cię kochać i szanować, jeśli się dowiem o upadłości przedsiębiorstwa?

- Za dobrze cię znam, abym mógł podobnie pomyśleć. Ale nie chciałem, byś była mną rozczarowana... Lindsay objęła i przytuliła ojca.

- Wypiszę ci czek dla twojej Fundacji...

- Zdecydowanie nie. Już i tak zrobiłeś więcej, niż powinieneś.
Nie wezmę pieniędzy, które mogą być ci potrzebne, jeśli... -
załamał się jej głos - okazało się, że fabryki nie można uratować.
- Uczciwie mówiąc, nie wiem, czy się uda. Sam czekam z niecierpliwością na odpowiedź.
- Czy już masz jakąś, choćby częściową opinię Gibba na temat przyszłości fabryki?
- Jeszcze nie.
- I czekając na tę opinię czy decyzję, masz siedzieć z założonymi rękami? Ktoś inny ma decydować o losie twojej fabryki?
- Takie są zasady gry. Takie też są warunki umowy z Triangle. Kiedy oni przyjmują zlecenie, chcą mieć pełne prawo decyzji.
- I wysyłają tylko jednego człowieka z pełnomocnictwem in blanco, nie obawiając się, że człowiek ten może nadużyć swoich uprawnień? Jakże tak można robić? Tu powinna była przyjechać ekipa.
- Po pierwsze, Triangle nigdy nie wysyła byle kogo. Może nie doceniasz Gibba.
- Czy ty przynajmniej wiesz, od jak dawna on u nich pracuje?
- Od samego początku. - Ben wydał się nieco zdziwiony. - Nic ci nie powiedział? W dalszym ciągu jest ich tylko trzech. No i wyszkolili sobie wspaniałą kadrę...
- Jakich trzech?
- Trzech dyrektorów, właścicieli i jednocześnie współzałożycieli. Stąd nazwa firmy, Triangle, trójkąt.

- I Gibb jest jednym z trzech wspólników?

- Właśnie. Firma w jednej trzeciej należy do niego. Wspólnicy są niesłychanie ostrożni, nie przyjmują pierwszej lepszej oferty. W każdym przypadku to właśnie jeden ze wspólników udaje się w teren i osobiście przeprowadza analizę zagrożonego przedsiębiorstwa. Jest ich trzech i to ogranicza liczbę wykonywanych zleceń. Czekałem długo na wyznaczenie terminu...

Lindsay z niedowierzaniem kręciła głową.

- Boże drogi, a ja zagroziłam Gibbowi, że się na niego - poskarżę jego szefowi...

Ben wydawał się rozbawiony.

- Co ty mówisz? I jak zareagował?

- Dał mi jakiś numer telefonu. Jak mogłeś to zrobić, tato? Oddać się całkowicie w ręce Gibba?

Ben Armentrout spoważniał.

- Starzeję się, dziecko. Moja fabryka jest w kłopotach. Jeśli mam coś zostawić tobie i Beepowi, potrzebna mi jest pomoc...

- Mam tylko nadzieję, że nie przedstawiłeś tego w ten sposób Gibbowi.

- Nie. Zresztą o nic nie pytał.

Ojciec wkrótce się pożegnał, a Lindsay zabrała się do odkurzania półek po to, by czymś się zająć i przestać myśleć o wydarzeniach dnia, a co najgorsze - o wydarzeniach sprzed dziesięciu lat.

Ale rzeka myśli nie chciała przestać płynąć...

Gibb prawie nie zauważył roweru leżącego na szutrowym pasie pobocza szosy. Dopiero gdy go minął, uświadomił sobie, że coś widział i że oprócz ramy i siodełka jest tam jeszcze jakby kupa szmat. To było pierwsze wrażenie. Obraz następny, przekazany do świadomości, obejmował już ludzką postać w szmatach. Zadziałał refleks. Zatrzymany gwałtownie lincoln posunął się z piskiem jeszcze paręnaście metrów, a potem znieruchomiał na pasie dość ożywionego ruchu.

Gibb wyskoczył z wozu i nie zatrzasnąwszy nawet drzwiczek i nie patrząc, czy coś nie nadjeżdża, kilkunastoma wielkimi susami podbiegł do leżącego roweru. Pod metalową ramą leżało skulone ciało. Dziecko! Leżało bez ruchu, co mogło oznaczać najgorsze. Gibb zastanawiał się, co robić: usiłować wydobyć ciało, próbować udzielić pierwszej pomocy, czy wrócić do samochodu i przez telefon wezwać karetkę. Mijały cenne sekundy.

Domniemany ranny nagle wyprostował się i spod ramy i paru jakichś szmat wygramolił się Beep.

- Cześć! - powiedział, widząc Gibba.

Beep miał umorusaną twarz i zmierzwione włosy, ale żadnych widocznych obrażeń. I uśmiechał się szeroko.

- Co do jasnej...! - Gibb przerwał nie dlatego, że nie chciał zakląć, ale z powodu drżenia głosu. Po paru sekundach dokończył: - Już myślałem, że jesteś ofiarą wypadku drogowego. Co ty tutaj robisz?

- O nie, ja bałem się wypadku i dlatego jechałem tylko poboczem. Ale niezbyt dobrze umiem jeździć po szutrze i spadł mi łańcuch. Myślałem, że tylko z jednego biegu i próbowałem przerzucić na inny, ale łańcuch pękł i rower nie wiem dlaczego upadł. Widzi pan urwany łańcuch? - W wysmarowanej dłoni trzymał wymieniony rekwizyt.

- Mnie nie obchodzi twój łańcuch, ale powód, dla którego aż tu zajechałeś. Po co tędy jechałeś? Jesteś z półtora kilometra od domu.

- Jechałem do fabryki zobaczyć się z panem. Nie mieliśmy czasu odbyć... to się nazywa kon... konsul-ta-cja, prawda? Bo kręciła się obok mama, więc pomyślałem...

- Słyszałeś o czymś takim jak telefon? - Gibb był bliski wybuchu.

- Nie mogłem telefonować, bo to jest nasz sekret. Zapomniał pan? - Chłopiec mówił prawie szeptem, rozglądając się dokoła i przykładając palec do ust.

- Niech cię... Dość już tego! Rower do bagażnika, odwiozę cię do miasta.

- Bardzo panu dziękuję.

- Lepiej nie dziękuj, zanim się nie dowiesz, co zamierzam zrobić. Właściwie to zasłużyłeś na duże lanie, ale ponieważ to nie moja sprawa, odwiozę cię do mamy i wszystko jej powiem.

- To gorsze niż lanie... Gibb...

Rower był za duży i kłapa bagażnika nie chciała się zamknąć. Gibb zaklął. Zaklął raz jeszcze, gdy na karoserii zobaczył tłuste plamy

od palców Beepa. Beep też je dostrzegł i chciał wytrzeć rękawem. Gibb go powstrzymał szarpnięciem za ramię.

- Dość już narozrabiałeś, wsiadaj do samochodu, Benjaminie! Bardzo mnie zdenerwowałeś.

Beep ciekawie rozglądał się po wnętrzu luksusowego wozu. Następnie wbił wzrok w Gibba, który uporał się wreszcie z rowerem i wrócił za kierownicę.

- Dlaczego pan mnie nazywa Benjaminem, proszę pana?

- No bo to jest twoje imię, no nie?

- Niby jest. Ale tak mnie nazywa tylko mama, kiedy czeka mnie bura.

- Czekał teraz na największą burę twego życia, Benjaminie - odparł surowo Gibb.

- Nie powinien pan o tym mówić mamie. To niesprawiedliwie. Jechałem do pana w sprawie, która jest sekretem. I już drugi raz do pana nie będę jechał, bo już pana znalazłem.

- Wymyśliłeś wcale niezłe usprawiedliwienie. Masz fantazję.

Beep westchnął, ale nie zrezygnował.

- Przecież ja tylko chciałem pana spytać, czy pan znalazł dla mnie robotę.

- Nie, nie, nie próbuj dalej. Oddam cię mamie i umywam ręce.

- Pan nie zabrudził rąk. To ja. Przepraszam za te plamy... Nie musi pan oddawać mnie mamie. Zostanę uziemiony. I wtedy nie będę mógł wziąć tej pracy, którą ma mi pan dać. A jak nie wykonam pracy,

to nie będę miał pieniędzy na prezent dla mamy... I będzie jej bardzo smutno - dodał.

- Nic na to nie poradzę. Nie trzeba było robić tego, co zrobiłeś. Wątpię, aby mama pozwalała ci jeździć rowerem do fabryki i to szosą, gdzie jest taki duży ruch. Na poboczu czy nie, to niebezpieczne.

Zwolnił, skręcając na główną ulicę handlową przecinającą Plac Sądowy. Mimochodem zerknął na blond główkę obok siebie. Zrobiło mu się żal Beepa. W zasadzie miał dobre intencje. Coś niby sympatia obudziła się w sercu mężczyzny. Postanowił zdusić to w zarodku i nawet nie analizować własnych uczuć. Sympatia! Niby z jakiej racji?

- Nie masz dość nazywania cię Beepem? - spytał.

- Już się przyzwyczailem. - Chłopiec wzruszył obojętnie ramionami.

- Przestałeś mi mówić po imieniu?

- No bo jak mogę, kiedy pan jest na mnie taki zły i już mnie nie lubi...

I to był koniec rozmowy.

Gdy zajechali pod „Bukiet”, żadne światła już się nie paliły.

- Gdzie może być twoja mama? - spytał Gibb.

- Pewno jest na górze. Wejście jest od tyłu. Ale nie musi mnie pan odprowadzać. To byłby dla pana wielki kłopot... - Beep miał niewinną minkę, a w oczach nadzieję, że może się uda.

- Nigdy nie zrezygnujesz, co?

Gibb zaparkował na podwórku na tyłach domu i ciekawie rozejrzył się dokoła. Wcale miłe miejsce. W lecie musi tu być uroczo.

Na ziemnym tarasie stał ogrodowy stół i krzesła. Malutka fontanna tuż obok stwarzała przytulny nastrój. Całe zaplecze domu było miłym prywatnym światem, całkowicie odizolowanym od zgiełku ulicy.

Mały prowadził. Wchodząc schodami na górę, Gibb słyszał głos Lindsay. Chyba rozmawiała przez telefon. Zobaczył ją jeszcze, nim wszedł na piętro, gdyż drzwi do korytarzyka u szczytu schodów były szeroko otwarte.

Wydała mu się niesłychanie elegancka, zgrabna i ponętna, Boże, jakie głupstwo zrobił, całując ją w gabinecie ojca! Co się z nim dzieje?

Poczuł drżenie rąk i zwykłe głupie pożądanie. Czyżby po raz drugi wpadał w zastawioną nań pułapkę, w wysnutą przez Lindsay pajęczą sieć? Nie, tym razem sieć jest jego dziełem. Z własnej woli tu przyjechał, z własnej woli ją pocałował, z własnej woli odprowadził tu chłopca.

Gdy cichutko wstąpili na ostatni stopień schodów, Lindsay odkładała właśnie słuchawkę, ale zaraz ponownie ją podniosła. Gibb lekko pchnął chłopca.

- Cześć, mamó, bardzo za mną tęskniłaś!? - wykrzyknął Beep prawie wesoło.

- Benjaminie, gdzie ty się zawieruszyłeś? Gdzie ty... - W tym momencie zobaczyła Gibba. Oczy jej się zwęziły, twarz pociemniała. I w tym momencie Gibb zrozumiał, że tamten pocałunek był nie tylko poważnym błędem, ale skończoną głupotą, która może mieć

katastrofalne konsekwencje. - Powinnam była odgadnąć, że jesteś w to zamieszany - powiedziała groźnie.

- Niby dlaczego właśnie ja?

- Bo taki jesteś. Mściwy... - Dopiero teraz nagle doszło do jej świadomości, że twarz Beepa jest zabrudzona, włosy rozczochrane, a ubranie brudne. - Co się stało? Co ci się przydarzyło? - spytała przerażona.

- Nic, mam, tylko zerwał się łańcuch roweru i Gibb odwiózł mnie do domu...

Lindsay podniosła wzrok na Gibba.

- Przepraszam za posądzenie... Dziękuję, Gibb...

- Nie chcesz wiedzieć, skąd go odwiozłem?

Z ust Beepa wyrwał się jęk.

- Bardzo mi przykro, kolego, ale to, co zrobiłeś, jest zbyt poważne, abym mógł nic nie mówić - oświadczył chłopcu Gibb. Oparł się niedbale o lodówkę i założył dłonie na piersiach. - Był dwa kilometry za miastem. Przy szosie.

- Przy szosie? Dokąd ty jechałeś, Beep?

- Tego pewno to i on sam nie wie, po prostu jechał, zerwał mu się łańcuch i na szczęście ja wkrótce potem tamtędy przejeżdżałem...

- Uf! - powiedział głośno Beep, szczęśliwy, że jego tajemnica jest uratowana. Niestety, szczęście nie było pełne.

- Benjaminie Patryku Gardnerze! - zaczęła surowo Lindsay, stając nad synem. - Do odwołania areszt domowy. Tylko do szkoły i z powrotem!

- To bardzo niesprawiedliwe, mamó! - zaprotestował Beep. - A na jak długo?

- Aż skończysz dwadzieścia jeden lat albo wcześniej, jeśli zginiesz przejechany na szosie przez samochód.

- Głupstwa mówisz, mamó. Jak mogę wpaść na szosie pod samochód, jeśli mi nie wolno wychodzić, aż skończę dwadzieścia jeden lat?

- Jak ty się odzywasz do matki? - skarcił go Gibb. - Matka nigdy nie mówi głupstw! Matka się o ciebie troszczy i dała ci po prostu przykład, co mogłoby się stać...

Beep zwiesił głowę i bąknął:

- Przepraszam.

- Dziękuję, Gibb... - Lindsay była wyraźnie zdziwiona tą interwencją.

- Skoro jeszcze jesteśmy przy temacie, to, czy nie uważasz, że jesteś nieco zbyt surowa? Nie przyprowadziłem go do domu po to, by natychmiast skazano go na dożywocie...

- To nie twoja sprawa!

- Ha, wolałabyś, bym go zostawił tam na szosie. Podniosła rękę do góry w geście poddania się.

- Już dobrze, dobrze. Wyznaczam termin zwolnienia z domowego aresztu za trzy tygodnie, ale rower rekwiruję na dalsze trzy.

- Mamó! - To jedno słowo Beep niemal zawył, zabrzmiało jak cztery osobne litery.

- Osobiście uważam, że to jest stanowczo za długo - wtrącił Gibb.

- A kto cię pytał i co to cię obchodzi?

- Bardzo mnie obchodzi i stwarza mi duże trudności.

- Co ty wygadujesz?

- Beep obiecał, że umyje mi jutro samochód. Co ja teraz zrobię?

Twarzyczka chłopca promieniała.

Za to twarz Lindsay mieniła się ze złości.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Osiem lat macierzyństwa nauczyło Lindsay rozpoznawać wszelkie kłamstwa i sfabrykowane wytłumaczenia. Chociaż Gibb miał twarz pokerową i nic z niej nie mogła wyczytać, wszystko doskonale malowało się na buzi Beepa. Zwłaszcza ten wyraz radości w połączeniu ze zdumieniem. Wypowiedź Gibba na temat mycia nazajutrz jego samochodu musiała być dla Beepa zaskoczeniem. Coś się za tym kryło, ale nie wiedziała co. Może kiedyś się dowie. Być może sam Gibb jej powie któregoś dnia... Ależ skąd! Przecież niedługo już go tu nie będzie... Westchnęła. Może to i dobrze, że Beep czymś się zajmie. Trzymanie go w domu właściwie niczemu nie służy. Niby jest karą, a właściwie nie jest. Będzie tylko faszrował się komiksami.

Ponadto przyszła jej do głowy myśl, która bardzo ją rozbawiła: Gibbowi nawet nie powstało w głowie powierzenie nowiutkiego

lincolna ośmioletniemu chłopcu. Ciekawe, jaką zrobi minę, kiedy Lindsay się zgodzi zwolnić Beepa? Słodko więc powiedziała:

- Nie będę w takiej sytuacji komplikować ci i tak już skomplikowanego życia. Wiem, jak ważne jest dla ciebie, aby mieć czysty wóz, więc pozwalam, by Beep go umył...

Beep wydał okrzyk dzikiej radości.

- ...Ale ponieważ mój zakaz opuszczania domu nadal obowiązuje - ciągnęła - musisz, Gibb, przyprowadzić lincolna pod dom. Beep może go myć na podwórku, gdzie będę go miała na oku.

Beep nie był zachwycony tym warunkiem, ale rzuciwszy krótkie spojrzenie na matkę, zdecydował, że lepiej nie protestować.

Ku wielkiemu rozczarowaniu Lindsay, Gibbowi nawet nie drgnęła powieka.

- Doskonale - powiedział. - Benjaminie, jutro o pierwszej za domem! A więc do jutra, Lindsay! Cześć, Beep!

Gibb wyszedł. Lindsay odprowadziła go na dół i zaryglowała za nim drzwi. Gdy wróciła na górę, Beep przekomarzał się z czarnym kotem, machając mu przed nosem kolorowym sznurkiem.

- Jesteś w świetnym humorze jak na kogoś, kto dostał trzy tygodnie paki - zauważyła.

- Co mi tam paka, jeśli będę mógł jutro zobaczyć Gibba... Ten niewinny dziecięcy komentarz rozżłościł Lindsay.

- Widzę, że będę musiała znaleźć bardziej skuteczną karę - burknęła. - A teraz przestań dręczyć kota i nakryj do kolacji.

Beep zdziwiony spojrział na matkę. Dlaczego jest taka zła, pomyślał, wstając z podłogi.

W sobotnie popołudnie w butiku panował zwykle duży ruch i Lindsay zawsze wtedy miała przy sobie jedną z pracownic, co jej pozwalało baczyć na Beepa, a nawet czasami popracować na zapleczu.

W tę jednak sobotę żałowała, że nie jest sama. Miałaby mniej czasu na ponure rozmyślenia i zerkanie na podwórze, gdzie Beep kręcił się przy samochodzie. Wychyliła głowę przez okno i spytała:

- Kiedy ty wreszcie skończysz? Najwyższy czas na powrót z przepustki. Pamiętaj, że jesteś domowym aresztantem.

Beep wystawił głowę zza otwartych drzwi lincolna i wesoło odkrzyknął:

- Ach, mam, nie wiedziałem, że przy myciu samochodu jest tyle roboty! Najpierw mydło i woda, potem mleczko i trzeba jeszcze wypolerować...

- I on to doskonale robi - odezwał się Gibb, stojący obok. - Ponieważ jest mały, może wcisnąć się tam, gdzie ja nie mógłbym.

Wściekła, nic nie odpowiedziała i wróciła do swojej pracy. Po raz wtóry wyjrzała dopiero po godzinie. Beep leżał na ziemi z nogami pod wozem i zawzięcie polerował chrom zderzaka. Tym razem nawet nie zadała pytania, ile czasu to jeszcze potrwa. Wróciła za ladę, gdzie przy kasie czekała pani Johnson z kryształowym dzwoneczkiem i kartą kredytową, by zań zapłacić. Pani Johnson była sekretarką klubu mieszkańców Placu Sądowego.

- Tak sobie pomyślałam, kiedy mi pani dała tę składkę od pana Gardnera, że powinniśmy urządzić dla niego powitalne przyjęcie...

Jest tu nowy... Niech pozna sąsiadów...

Lindsay miała ochotę głośno zawyć.

- To może być u mnie - ciągnęła kobieta. - Najlepiej w przyszłą niedzielę po południu. Taka zwykła herbatka i ciasteczka.

- A może pełna gala - mruknęła Lindsay z sarkazmem, którego pani Johnson nie dostrzegła.

- Ach, to wspaniały pomysł. I niech każdy coś przyniesie. Jakiś symboliczny prezencik.

Lindsay zagryzła wargi. Głupi żart obrócił się przeciwko niej.

- On chyba nie pozostanie długo w Elmwood. Zresztą trzeba go spytać, czy on tego chce.

- O, w zasadzie to już go pytałam, czy chce być powitany. Szłam od strony parku i zobaczyłam go przy samochodzie. Uroczy człowiek... ten pan Gardner. Powiedział, że chętnie wszystkich pozna.

Lindsay podniosła głowę, słysząc jakiś ruch w głębi sklepu, i zobaczyła Skye Oliver pilnie przysłuchującą się pani Johnson.

Lindsay nawet nie zauważyła, kiedy Skye weszła.

- Niech pani spyta po raz drugi - mruknęła. - Czy mam opakować dzwonek w ozdobny papier?

- Ach nie, to tylko do mojej kolekcji dzwonek. Do kasy podeszła Skye.

- Czy ta ramka naprawdę kosztuje czterdzieści dolarów? - spytała. Jej ton wskazywał, że w tym butiku nie może być nic, co zasługiwałoby na podobną cenę.

- Jeśli metka tyle wskazuje...

- Ooo! - Skye odłożyła ramkę obok kasy i zwracając się do pani Johnson, powiedziała: - Mimo woli usłyszałam pani propozycję. Chętnie pani pomogę od strony organizacyjnej. To świetny pomysł... owo powitalne przyjęcie dla Gibba.

- Ale to jest wyłącznie dla członków klubu mieszkańców okolicznych domów...

- Nie miałam zamiaru wpraszać się, chociaż prawdę powiedziawszy uważam się za członka honorowego, bo przecież opiekuję się mieszkaniem rodziców...

Zwłaszcza od kiedy zamieszkał tam Gibb, pomyślała Lindsay cynicznie.

- Będę się trzymała na uboczu. Chcę tylko pomóc, a przecież pani potrzebuje pomocy - ciągnęła Skye. - Sama organizacja, konieczne zakupy... - Chwyciła głęboki oddech i wyrzuciła z siebie jednym tchem: - Bo widzi pani, ja i Gibb bardzo się zaprzyjaźniliśmy ostatnio...

Pani Johnson spojrzała porozumiewawczo na Lindsay i odparła z wymuszoną uprzejmością:

- Rozumiem. Dziękuję ci za propozycję. Zadzwoń do ciebie i powiem, w czym mogłabyś mi pomóc. - Skinęła obu kobietom i wyszła szybko ze sklepu.

Lindsay była pewna, że zrobiła to, by nie usłyszeć kolejnej propozycji, z którą Skye za chwilę mogła wyskoczyć, a mianowicie, iż sobotnia potańcówka byłaby dla wszystkich, a zwłaszcza dla Gibba, przyjemniejsza niż niedzielna herbatka, lub coś innego w tym stylu.

- Co to za plotki, że Gibb niańczy twoje dziecko? - zapytała Skye szeptem, pochylając się nad ladą.

- Co ty za bzdury opowiadasz? Kupujesz tę ramkę?

- Za czterdzieści dolarów? O nie! A teraz myją razem samochód. Jaki piękny obrazek! Twój pomysł, co?

- Nie mój pomysł, nie mój samochód. Masz tu jeszcze jakiś interes, Skye?

- Chcesz powiedzieć, że on zmusza małe dziecko do...

- Tak, ten potwór zmusza małe dziecko do ciężkiej pracy. -

Lindsay słodko się uśmiechnęła, wzięła ramkę i odniosła ją na miejsce, a rozsierdzona Skye wybiegła ze sklepu.

Pod koniec dnia ruch w sklepie zmaleł. Lindsay zostawiła pracownicę, by posprzątała i zamknęła butik, a sama poszła na górę zająć się kolacją. Wyjęła z zamrażalnika kureę, ale zamiast ją przygotowywać, stanęła w oknie, patrząc na scenę na dole.

Gibb mył szybę na dachu samochodu. Najwidoczniej Beep nie potrafił tam sięgnąć. Gibb był bez marynarki, a dość obcisła trykotowa koszulka uwypuklała mięśnie ramion i pleców. I znów przypomniawszy sobie inne czasy, inny samochód i tego samego Gibba, który polerował karoserię, a ona przyglądała się mu z okna ich

mieszkania w starej wozowni. Mieli wtedy nieco już przerdzewiałego Chevroleta, który był lwią częścią wkładu w małżeński majątek. Gibb przejawiał wówczas tę samą troskę o Chevroleta, co teraz o lincolna. I tak samo był dumny ze swego pojazdu.

Beep skończył polerowanie ostatniej chromowanej klamki drzwiowej i wachlował się teraz szmatką. Gibb spojrział na niego z uśmiechem i powiedział coś, czego Lindsay, będąc zbyt daleko, nie usłyszała. Beep radośnie zachichotał.

Słodka rodzinna scenka. Lindsay nie pomyślała tego z ironią, ale z coraz bardziej ogarniającym ją żalem. Ach, gdyby to była rodzina, gdyby cała ich trójka...

Nie! Przecież Gibb już nic mnie nie obchodzi. Nie po tym, co mi zrobił, odchodząc w taki sposób...

Beep zaczął zbierać szmaty, narzędzia i puszki. Lindsay zdała sobie sprawę, że nadal tkwi w oknie z zamrożonym kurczakiem przy piersi. Szybko wróciła do kuchni.

Kiedy Beep przybiegł na górę, kurczak był już odmrożony, pokrajany i skwierczał na patelni. Lindsay krajała cebulę.

- Kto ci pozwolił zabrać te ręczniki? - spytała, widząc w rękach Beepa parę wymiętych najlepszych sztuk.

- Dziadek już ich używał, kiedy reperował kran.

- Dziadek też nie miał na to pozwolenia. Połóż je koło pralki i umyj się. Dziadek przychodzi dziś do nas na kolację, bo ma inne plany na jutrzejszy lunch.

- To znaczy, że kolacja będzie dobra?

- Kurczak smażony z ryżem. Dlaczego pytasz?
- Bo chciałbym zaprosić Gibba.
- Podczas domowego aresztu nie masz prawa zapraszać żadnych gości. Jazda do łazienki, mój panie! - Wrzuciła na patelnię pokrajaną cebulę.

Zerknęła za Beepem znikającym w malutkiej pralni i dopiero wtedy zauważyła, że w drzwiach, oparty o framugę, stoi Gibb. Musiał słyszeć jej odmowę zaproszenia gościa. Lindsay zrobiła się szkarłatna, chociaż nie czuła się absolutnie niczemu winna.

- Przepraszam za ręczniki. Nie wiedziałem, że je zabrał bez pozwolenia. Kupię ci nowe.

- To głupstwo. Na pewno się wypiorą.

- Ale powiedz, jeśliby się nie wyprały. No, to do widzenia...

- Gibb... - W ustach jej zaschło, zapomniała prawie języka i nie wyszło to tak, jak zamierzała, gdy wreszcie wyksztusiła z siebie: - Możesz zostać na kolacji, jeśli chcesz...

Nic nie odpowiedział, tylko bacznie się jej przyglądał.

- Chciałam powiedzieć, że to było bardzo miłe, że zechciałeś spędzić popołudnie z Beepem i bardzo bym chciała, żebyś zjadł z nami kolację.

Po długiej chwili milczenia odparł:

- Spraw mi to wielką przyjemność.

Lindsay poczuła przedziwną ulgę i pomyślała, że to bardzo głupie. Niby dlaczego miała poczuć się lepiej? Gibb zostaje na kolacji, no to co? Grzeczność nakazywała go zaprosić, a on przez podobną

grzeczność zostaje. A słowa o przyjemności, to po prostu grzecznościowa formułka. Zaczęła grzebać w lodówce, by z niej wreszcie wyjąć łydygi selera.

- Mam wino i piwo, co wolisz?

- Proszę o piwo. Nie było gorąco, ale po ciężkiej pracy mam pragnienie.

Wyjęła butelkę piwa, otworzyła, wraz ze szklanką postawiła na ladzie kuchni. Przez parę minut nic nie mówili. Lindsay kończyła przygotowywać kolację, Gibb małymi łydkami spijał piankę z piwa.

- Czy ojciec Beepa odwiedza syna? - spytał. Lindsay upuściła nóż. Upadł z hałasem na blat stołu.

- Nie. On tu nie mieszka.

- To bardzo źle. Beep potrzebuje opieki i towarzystwa dorosłego mężczyzny. Przepraszam, że to powiedziałem. Zaraz mi wytkniesz, że to nie moja sprawa.

- Święta prawda. - Powróciła do krojenia łydyg selera. - Słyszałam, że będziesz gościem honorowym przyjęcia na twoją cześć. Zostałeś wyróżniony. Nie każdy członek klubu był w ten sposób uhonorowany.

- Pani Johnson tak nalegała...

- Na pewno będziesz się dobrze bawił. Skye obiecała pomóc w organizacji imprezy.

Pokrajane i umyte łydygi selera wrzuciła do salaterki. Gibb skończył piwo, a gdy odmówił drugiego, które Lindsay mu

zapropowała, zapadła cisza, niemal jak w normalnej rodzinie. Tyle że Gibb nie odrywał oczu od Lindsay, obserwując każdy jej ruch.

- Co tak długo robi tam Beep? - zastanawiała się głośno.

- Pójdę zobaczyć - zaofiarował się.

- Jeszcze nie. Muszę cię o coś zapytać. - Powinna mu powiedzieć o tych groźbach pod jego adresem. Powiedziałyby już wczoraj, gdyby nie zaprzętnęła jej głowy sprawa Fundacji. - Czy w fabryce są jakieś... niepokoje?

- Co masz na myśli? Jeśli nie wystarcza ci brak płynności gotówkowej, straty...

- Nie o to mi chodziło. Czy są kłopoty z pracownikami? Bo coś słyszałam. Może to tylko głupie plotki... - Chwyciła głęboki oddech. - Musisz to wiedzieć. Ktoś mi powiedział, że trzeba cię ostrzec przed odebraniem pracownikom ich dodatkowych przywilejów zagwarantowanych umowami i tradycją, bo może to nie wyjść ci na zdrowie.

- Jonas ci to powiedział, tak?

- Tak - przyznała niechętnie. - Ale dodał, że to nie jego pomysł.

- Ależ tu ładnie pachnie! - Usłyszeli nagle tubalny głos Bena Armentrouta.

- Nie martw się tym, Lindsay - półgłosem powiedział Gibb i wstał, by powitać Bena.

W tym samym momencie wrócił Beep i stanął pośrodku kuchni, otwierając szeroko oczy i usta.

- Gibb, Gibb! Jesteś? Zostajesz na kolację? Chodź, pokażę ci mój pokój...

- A kto nakryje do stołu, młody człowieku? - Lindsay podniosła głos.

Gibb odstawił butelkę po piwie i szklanę do zlewu.

- Pokaż mi, gdzie są nakrycia, Beep, to ci pomogę. Szybko się uwiniemy i potem obejrzymy pokój.

- No, no! - powiedział Ben, nalewając sobie wina do szklanki.

- To tylko kolacja, tato. Niech ci nic nie przychodzi do głowy.

- Moja droga, mnie już od lat nic nowego nie przychodzi do głowy. A tu masz czek dla twojej Fundacji...

- Powiedziałam ci wczoraj, tato...

- To nie ode mnie, kochanie. Na posiedzeniu Rady Nadzorczej szpitala wspomniałem o twoim kłopotcie i jeden z członków rady postanowił pomóc.

- To nam rzeczywiście bardzo pomoże, bo mamy kilku potrzebujących. - Lindsay umyła ręce i wzięła czek.

- Może jeszcze mi się uda tego czy owego zmobilizować, żeby wspomógł zbożne dzieło...

Przy pomocy Gibba stół został nakryty w rekordowym czasie.

- Jakie zbożne dzieło? - spytał Gibb, siadając koło Bena.

Nim Lindsay zdołała wtrącić, że to nie jego sprawa, Ben wyjaśnił, że chodzi o wsparcie dla kobiet w bardzo trudnej sytuacji życiowej, mieszkających w schronisku.

- Ile na to potrzeba? - chciał wiedzieć Gibb.

- Chwilowo wystarczyły dwa tysiące. Ale damy sobie radę... -
Lindsay chciała uciąć na tym rozmowę o Fundacji.

- Dam ci czek - powiedział krótko Gibb.

Lindsay nie mogła już nic na to odpowiedzieć, bo w tym momencie do kolan Gibba przypadł Beep i zaczął mu z ożywieniem opowiadać treść ostatnio oglądanego filmu. Gibb słuchał z anielską cierpliwością. W połowie opowieści Lindsay zlitowała się nad nim i podała kolację.

W czasie jedzenia rozmawiano o wszystkim - o szkole Beepa, planowanym przyjęciu na powitanie Gibba, problemach w fabryce i o paru innych neutralnych sprawach.

Po kolacji powstała kwestia zmywania. Lindsay uparła się, że tym razem ona pozmywa. Ben na ochotnika zgłosił się do pomocy. W saloniku został Gibb z Beepem. Z niewielkiej odległości Lindsay słyszała ich rozmowę, ale nie zwracała na nią większej uwagi, gdyż dotyczyła najpierw zasad mycia samochodów, a następnie różnych sposobów puszczenia latawców. W pewnej chwili nastawiła jednak uszu.

- Musisz ty, bo ja mam areszt domowy - mówił Beep.

- Wiecznie go nie będziesz miał - odparł Gibb.

- No tak, ale ktoś może mi to sprzątnąć sprzed nosa - nalegał Beep.

- Już mnie raz wpakowałeś w swoje kłopoty, a teraz znowu chcesz - bronił się Gibb.

O czymże oni mówią? Muszę się tym zainteresować, pomyślała Lindsay. Czuję, że to mnie dotyczy.

- Ale przecież to nie będzie dla ciebie żaden kłopot - przekonywał Beep.

Lindsay szybko wytarła kuchenny blat i weszła do saloniku akurat w momencie, kiedy Gibb, ulegając perswazjom Beepa, z rezygnacją się zgodził:

- Dobrze, zrobię to, ale będziesz mi winien przysługę.

- Doskonale. Jeszcze raz umyję ci samochód. - Twarz Beepa rozpromieniła się.

- Nie wiem, czy bym to wytrzymał - mruknął Gibb.

- O czym wy rozmawiacie? Co kto ma zrobić?

- To są sprawy mężczyzn, mamó - oświadczył Beep.

- I nic, co może być niebezpieczne lub niewłaściwe dla Benjamina - zapewnił Gibb.

Konspirują, niczego się od nich nie dowiem, pomyślała. Spojrzała na zegar nad kominkiem.

- Ojej, jak późno. Beep, kąpiel! Już!

Beep bardzo niechętnie odmaszerował do łazienki. Po chwili wystawił głowę i zawołał do matki:

- Leci za gorącą wodą. Popraw, mamó!

- Nie powiesz mi, o jaką przysługę prosiłeś Gibba? - spytała, pochylając się nad kranem. - Rozmawialiście tak tajemniczo, jak para poszukiwaczy skarbów.

- Bo to jest coś w tym rodzaju, mamó. - I więcej już nie chciał jej powiedzieć.

Zostawiła Beepa odgrywającego w wannie rolę rozbitka na oceanie i powróciła do saloniku. Zastała tylko Gibba.

- Ojciec wyszedł. Prosił, żeby cię pożegnać. Właściwie to powiedział, żeby ucałować. I mówił jeszcze, że się bardzo śpieszy.

Łapiąc powietrze jak ryba, nic nie odpowiedziała.

- No cóż, ja też powinienem iść. Zostałem, żeby ci podziękować za zaproszenie i za uroczy wieczór...

- Nie musisz się śpieszyć. Siadaj.

Gibb nadzwyczaj chętnie to uczynił, a czarny kot natychmiast wskoczył mu na kolana i zwinął się w kłębuszek, mrużąc z zadowoleniem.

- Lubisz koty, prawda? - spytała.

- Koty i psy. Ale nie mogę ich mieć, bo stale wędruję z jednego miejsca na drugie. Z jednej roboty do drugiej.

- Przecież musisz mieć jakieś stałe miejsce zamieszkania?

- Zgodnie z zapisem w moim prawie jazdy, w Denver. -

Uśmiechnął się. - Ale nigdy tam nie zaglądam, nawet na piwo.

- Od jak dawna prowadzisz takie życie?

- Prawie od sześciu lat.

- Zapewne ci odpowiada. Lubisz je.

- Za każdym razem staję w obliczu nowego wyzwania. Nie ma obawy, bym wpadł w rutynę.

- Ojciec mi powiedział, że jesteś w Triangle od samego początku. Od dziewięciu lat. Czy na to zużyłeś pieniądze, które on ci... Przepraszam. Powinnam była ugryźć się w język. To nie moja sprawa.

- Pytaj o wszystko. - Z wyrozumieniem pokiwał głową. - Chętnie ci odpowiem. Z dwoma przyjaciółmi założyliśmy spółkę. Złożyliśmy wszystkie pieniądze, jakie mieliśmy, i kupiliśmy małą firmę zaopatrzenia biur. Upadającą firmę. Udało się nam postawić ją na nogi i sprzedać z dobrym zyskiem. Zainwestowaliśmy pieniądze w kolejną upadającą firmę i też nam się udało. Doszliśmy do wniosku, że nie musimy kupować firm na skraju bankructwa. Przekształciliśmy się w spółkę konsultingową. I tak powstał Triangle.

- Odnosząc olbrzymi sukces na rynku - powiedziała z podziwem w głosie Lindsay. - Jestem naprawdę bardzo szczęśliwa, że tak dobrze powiodło ci się w życiu.

Gibb wstał, delikatnie stawiając kota na ziemię. W milczeniu długo wpatrywał się w Lindsay. Wreszcie lekko westchnął i powiedział:

- Muszę naprawdę iść. Dziękuję za kolację. Była świetna.

- Nie tak jak za dawnych czasów. - Roześmiała się nerwowo. - Wiem, że beznadziejnie gotowałam. Właściwie nie umiałam nawet zaparzyć kawy.

Odprowadziła go do schodów. Zatrzymał się u ich szczytu i wargami musnął policzek Lindsay.

- A ja cię przepraszam, że nie byłem mężczyzną, jakiego potrzebowałaś, Lindsay. - I odszedł.

Długo jeszcze stała tam, gdzie ją zostawił, zatopiona we wspomnieniu, wsłuchana w bicie swego serca, z dłonią na pocałowanym policzku.

Z łazienki wyszedł Beep i stanął koło matki.

- Gibb poszedł, mamó? A tak chciałem, żeby mnie otulił na dobranoc.

- Może on nie wiedział, że tak bardzo tego chcesz, synku... Może zrobi to kiedy indziej...

Czy to muśnięcie coś znaczyło, czy też należało do zdawkowych gestów? Czy długi pocałunek poprzedniego dnia miał dla niego jakąś wartość, czy był tylko głupim żartem? Jakże by chciała... Myślała, że przeszłość umarła, że jest zapomniana, przetrawiona, że odeszła raz na zawsze. Tymczasem pojawienie się Gibba obudziło w niej głód. Nagle zdała sobie sprawę, że pragnie go całym sercem. Całym zbolałym, rozszalałym sercem. Tylko że w jego zachowaniu, słowach i gestach nie widzi podobnego pragnienia. Owszem, okazuje większą wobec niej uprzejmość, a nawet rosnące dla niej uznanie - bo przecież tak bardzo się zmieniła - ale niewiele więcej.

I dlatego tak ją ubodło, kiedy po tym wczorajszym pocałunku powiedział, że tylko głupiec podejmowałby decyzje w oparciu o fizyczne pożądanie kobiety. Chyba tak powiedział, choć może nie tymi słowami. Tak, i pocałował, żeby tego dowieść.

A teraz, kiedy mu powiedziała, że ją cieszy jego życiowy sukces, po prostu odszedł.

Powinna być wściekła, powinna być obrażona, ale czuła tylko wielki smutek i pragnienie miłości. W odróżnieniu od ich małżeństwa - miłość wcale nie przestała istnieć. Wcale nie umarła.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Gibb pomyślał, że Lindsay jeszcze nigdy nie była taka piękna, jak teraz, gdy widział ją siedzącą w dyskretnie oświetlonym saloniku. Jej twarz wydawała się łagodna, a głos o miękkich i niemal uwodzicielskich tonach sprawiał wrażenie niebiańskiej muzyki.

Był nią oczarowany i jednocześnie wściekły na siebie, że nadal ulega jej czarowi, że ledwo musnęła swymi dłońmi niewidzialną otoczkę, jaką wokół siebie zbudował - ów jego własny pancerz samokontroli i wewnętrznej dyscypliny - otoczka przestała istnieć, rozpułyła się, pękła, pozostawiając go niemal bezbronnym. A przecież Lindsay nawet nic nie uczyniła, aby go zwabić. Jej zmysłowy magnetyzm był naturalny, nieświadomy. Wystarczyło, by na nią patrzył, gdy siedziała między poduszkami w miękkim fotelu, a już zaczęła gotować się w nim krew. Zapragnął jej. Miał wybór: wstać i wyjść albo wziąć ją w ramiona i zanieść do sypialni, by sprawdzić, czy siła ich kochania jest taka sama jak dawniej, czy pozwoli zapomnieć o wszystkim, co ich dzieliło...

Przez długą chwilę szamotał się sam ze sobą. Bardzo go to rozżłościło. Co więcej - przeraziło go. Nie miał prawa zostać ponownie jej kochankiem. Nie powinien. Więc wstał, pożegnał się i wyszedł. Ale wymagało to wielkiej siły woli.

Nie miał prawa jej pragnąć. Na dłuższą metę byłoby to fatalnym błędem. Nie wolno mu się oszukiwać, że wzajemne pożądanie, jakie ich niegdyś połączyło, wystarczyłoby teraz, by zasypać dzielącą ich przepaść, jaka ujawniła się przed dziewięciu laty. Wszystko, co wydarzyło się potem, mogło tę przepaść jeszcze bardziej pogłębić. Na przykład Beep zrodzony z nasienia innego mężczyzny. Beep był największą przeszkodą, która uniemożliwiłaby ich nowemu związkowi odzyskanie dawnego blasku, kiedy to czasami wystarczyło im być po prostu razem.

Benjamin był miłym chłopcem. Spędzenie z nim jednego popołudnia można strawić, ale całego życia - w żadnym wypadku. To jest cudze, obce dziecko.

Jeśli od samego przebywania w pobliżu Lindsay powstaje mu taki mętlik w mózgu, to lepiej trzymać się od niej z daleka.

I w dodatku Lindsay mu powiedziała, że jest szczęśliwa, iż mu się powiodło w życiu. Nie potrzebuje, psiakrew, żeby była szczęśliwa z jego powodu.

Nie, to jest głupie, samolubne, idiotyczne! Nawet gdyby tęskniła za nim, nawet gdyby gorzało w niej uczucie do niego, to między nimi nigdy nic trwałego nie może zaistnieć. Na przeszkodzie stoi dziecko.

Dziecko, które mogłoby być jego dzieckiem, ale nie jest.

Musi mieć dystans do obojga. Do Lindsay i do Beepa. Tylko że dał tych parę głupich obietnic...

Lindsay zepsuł się zegarek. Musiała przeżyć cały weekend bez zegarka! W poniedziałek rano była bardzo zajęta w sklepie i dopiero po południu mogła pobiec na drugą stronę placu do jubilera Hendersona, który zatrudniał także zegarmistrza.

Stojąc już przy ladzie zorientowała się, że wysoki mężczyzna rozmawiający nieco dalej ze sprzedawcą, to Gibb. Zobaczył ją w tej samej chwili i szybko zamknął leżące obok wyłożone aksamitem pudełko i niedbałym ruchem schował je do kieszeni.

Nie zdążyła zobaczyć, co jest w pudełku, ale na pewno było takie, które zwykle służy do pierścionków.

Do pierścionków zaręczynowych! A przed paroma dniami słyszała na własne uszy słowa Skye: „Ja i Gibb bardzo się zaprzyjaźniliśmy ostatnio”. I ten żart Iana Russela w restauracji „Pod Wierzbami”, że zamówienie langusty podczas kolacji z dziewczyną jest równoznaczne z obwieszczeniem światu zaręczyn.

Z drugiej strony należało pamiętać to, co Gibb sam o sobie powiedział - że nie jest stworzony do małżeństwa. Może jednak znalazł w Skye coś, co go skłoniło do zmiany opinii? Coś, czego brakowało właśnie Lindsay...

Przestań wyciągać pochopne wnioski! To, że pudełko było małe i kwadratowe, wcale nie musi oznaczać, że zawierało pierścionek z brylantem.

Tak czy inaczej, Gibb kupował prezent dla Skye, w przeciwnym wypadku nie schowałby pudełka tak szybko do kieszeni i nie miał tak zaskoczony miny na jej widok.

Nie było co udawać czy zaprzeczać - zżerała ją zazdrość! Zwykła kobieca zazdrość. Uznać, że własne szanse przepadły i przeszłości nie da się przywrócić, to jedno, a być świadkiem, jak były mąż kupuje prezent drugiej kobiecie - to zupełnie co innego. To boli.

I znowu pochopne wnioski, skarciła się. Przecież właściwie nie wiedziała, co Gibb kupował i dla kogo kupował.

Zdobyła się na uśmiech i skinęła Gibbowi głową. Podała zegarek siedzącemu za stolikiem zegarmistrzowi.

- Chyba trzeba tylko zmienić baterię - powiedziała.

Kątem oka widziała, jak Gibb płaci czekiem i otrzymuje resztę. Rachunek musiał więc być spory. Zwłaszcza że otrzymane pokwitowanie starannie złożył i schował do portfela. Po co komu rachunek przy małowartościowym zakupie?

Załatwiwszy wszystko, Gibb podszedł do Lindsay.

- Wracasz do sklepu? - spytał.

- Wracam, kiedy tylko włożą mi nową baterijkę do zegarka.

- Doskonale, wpadnę. Mam coś dla ciebie. - Skinął głową i wyszedł.

Taka była rozkojarzona, że niemal zapomniała zapłacić za baterię.

Co Gibb może dla niej mieć? Przypomniała sobie. Mówił wczoraj, że da jej czek dla podopiecznych Fundacji. To musiało być

to. Kiedy jednak po paru minutach wszedł do „Bukietu”, dźwigał przepaścistą plastikową torbę. Nie była ciężka, lecz dobrze wypchana. Postawił ją na ladzie.

Beep, który czytał książkę, zamknął ją natychmiast i podbiegł się przywitać.

- Czy wiesz, Gibb, że nie mogę zreperować tego łańcucha rowerowego... Pomożesz mi?

- Łańcuch nie będzie ci teraz potrzebny - burknęła Lindsay. - Przez trzy tygodnie jesteś w areszcie domowym. I nie męcz Gibba.

- On mnie nie męczy, Lindsay. Pójdę z nim i zobaczę, co da się zrobić, a ty zajrzyj do torby...

Gibb zaczyna się szarogęścić. W jej sklepie, w jej domu! Powiedziała „nie”, a on mimo to poszedł reperować rower. Tak, za dużo sobie pozwala. Wzruszyła ramionami i otworzyła torbę. Była pełna ścierek kuchennych oraz ręczników różnych rozmiarów i kolorów. Wszystkie w najlepszym gatunku. Było ich o wiele więcej, niż Beep wziął z domu do polerowania samochodu. W Lindsay rozgorzała złość, pojawił się żal i przygnębienie. Do oczu cisnęły się łzy. Dla niej - ręczniki, a dla Skye - pierścionek zaręczynowy. Była gotowa wziąć jeden z ręczników, skrócić go w postronek i udusić nim Gibba.

Lindsay z początku nie miała najmniejszego zamiaru iść na klubowe przyjęcie na cześć Gibba.

Kiedy jednak nadeszła sobota i zrobiło się już dość późno, z ociąganiem zaczęła się przygotowywać. Wtedy właśnie zadzwonił Dave Jonas, żeby zaprosić ją do kina.

Propozycja była kusząca, gdyż z pewnością spędziłaby lepiej czas, oszczędzając sobie widoku rozsiewającego blask brylantu na palcu Skye. Ale była przecież prezesem klubu. Nie mogła zignorować klubowej imprezy.

- No to może wpadniesz tam na chwilę, a potem wymkniesz się ukradkiem. Podobno film jest świetny...

Może to i dobry pomysł, pomyślała. Powodowana impulsem zaproponowała Dave'owi, żeby poszedł z nią na przyjęcie, bo wtedy łatwiej jej będzie wymknąć się razem z nim.

- Przyjadę po ciebie za kilka minut - obiecał i odwiesił słuchawkę.

- Czy ja mogę iść? - spytał Beep. - Też jestem mieszkańcem placu.

- Przedstawienie tylko dla dorosłych - odparła Lindsay.

- Bo co tam będziecie robili na tym przyjęciu?

- Będziemy nudno gadali, gadali i gadali.

- O takich rzeczach, które zawsze mówi pani Johnson, jak tu przychodzi? Że ją bolą kolana?

- O właśnie! Trafiłeś w sedno.

- Co to jest sedno?

- To trzeba długo tłumaczyć.

- Ale jak trafiłem, to lepiej zostanę w domu. Ja lubię przyjęcia, gdzie dają prezenty.

Na śmierć zapomniała o prezencie! Przecież pani Johnson zdecydowała, żeby Gibba obdarować symbolicznymi prezentami. Trzeba wybrać coś drobnego i zabawnego. Gdyby ona jedna niczego nie przyniosła, wywołałoby to niepotrzebne komentarze.

- Jeśli to jest przyjęcie tego twojego klubu, mam, to dlaczego zaprosiłaś Dave'a?

Lindsay sama tego nie wiedziała i żałowała, że to zrobiła. Nigdy nie należy ulegać impulsom. Znowu powstaną plotki na temat jej i Dave'a. Po co to zrobiła! Po to, aby pokazać Gibbowi, że nie jest taka znowu osamotniona i że ma własne życie...

- Długo cię nie będzie, mam?

- Dwie, dwie i pół godziny. Wpadnę na chwilę na przyjęcie, a potem pójdę z Dave'em do kina... Będzie ci tu dobrze z Heidi.

- Wolałbym być z Gibbem.

- Gibb idzie na przyjęcie. Odbywa się ono na jego cześć.

- Co to znaczy, że na jego cześć?

- Powitalne przyjęcie. Bo niedawno przyjechał.

- Dlaczego nas w tym tygodniu nie odwiedził?

- Jest pewno bardzo zajęty.

- Brakuje mi go.

- Musisz się do tego przyzwyczaić. Gibb niedługo w ogóle wyjedzie. Skończy robotę w fabryce i pojedzie dalej.

Beep miał zamiar jeszcze coś powiedzieć, ale rozległ się dzwonek.

- To Heidi. Otwórz jej - poleciała Lindsay.

Beep wrócił nie tylko w towarzystwie Heidi, ale i Dave'a.

- Szybko przyjechałeś - powiedziała Lindsay.

- Wcześniej zjawimy się na przyjęciu, szybciej będziemy mogli się wymknąć. - Pocałował ją lekko w policzek.

Lindsay wydała instrukcje opiekunce, informując ją o areszcie domowym Beepa.

- Żadnych spacerów do parku! - dodała i zwróciła się do Dave'a:

- Możemy zaraz iść, tylko skoczę na chwilkę do sklepu, żeby wybrać jakiś symboliczny prezencik.

- Nic mi nie mówiłaś, że tam będą prezenty - odezwał się płaczącym tonem Beep.

- Zupełnie nieciekawe. Dla dorosłych.

Zeszła na zaplecze sklepu i zaczęła się dokoła rozglądać. Kryształowy dzwonek? Nie. Szklana kula odbijająca promienie światła? Nie. Ani ozdobne świece, ani porcelana... Może srebrna ramka do włożenia w nią fotografii Skye?

Wzrok jej padł na narzutę w przeraźliwych kolorach. Młoda kobieta co parę dni przychodziła do sklepu, pytając, czy są jakieś zamówienia, i obiecywała próbkę w mniej ostrych barwach. Lindsay zamierzała ten kłujący oczy wzór zwrócić.

Teraz wzięło górę przekorne poczucie humoru. Powie Gibbowi, żeby sobie tym ciepłym pledem okrywał w zimie nogi. Wybrała

odpowiedniej wielkości pudełko, upchała w nim narzutę i opakowała w ozdobny papier.

- Dla kogo ten prezent? - spytał Dave, który właśnie zszedł na dół.

- Dla Gibba. Przyjęcie jest na jego cześć.

Dave przez pół minuty milczał.

- Może ja nie powinienem iść - bąknął wreszcie.

- W fabryce pogorszyły się nastroje?

- Pogorszyć nie pogorszyły. Ale napięcie trwa. Gardner we wszystko wtyka nos i węszy jak pies, interesuje go każda faza produkcji, każdy krok w lewo czy w prawo od maszyny. Wszyscy są wściekli i zdenerwowani. A on w dodatku zaczął przesłuchiwać pracowników. Co kto robi, jak robi i tym podobne.

- Ma prawo. Chce wszystko dobrze zrozumieć.

- Gdyby na tym się kończyło! Ale on zada parę pytań o pracę, a potem zaczyna bajer, Zupełnie jakby go fabryka nie obchodziła, mówi o niczym, pyta o pogodę. Zapycha czas, żeby mu nadgodziny policzyli albo co? A jaki jest grzeczniutki! Wypełnia facet obowiązek, żeby potem dać wymówienie i móc się wytłumaczyć, że z każdym osobno rozmawiał. A ty wiesz coś na temat wymowień, Lindsay?

- Nic nie wiem. Zarówno ojciec, jak i Gibb przestali mi cokolwiek mówić.

Przeszli przez plac i udali się na pierwsze piętro do mieszkania pani Johnson, mieszczącego się nad biurami agencji ubezpieczeniowej. Lindsay niosła pod pachą pudło obwiązane

wstażką. Gdy stanęła pod drzwiami i nacisnęła guzik dzwonka, uderzyło ją, że z mieszkania nie dobiegają żadne odgłosy. A przecież powinien już tam być spory tłumek. Pani Johnson otworzyła i wpuściła Lindsay i Dave'a do pustego salonu.

Czyżbym pomyliła godzinę, pomyślała Lindsay, ale w tym momencie otworzyły się drzwi do sąsiednich pokoi, z których wybiegła gromada gości wykrzykujących: „wszystkiego najlepszego, droga Lindsay!”

Lindsay ze zdumienia otworzyła usta.

- Przecież to twoje urodziny - powiedziała pani Johnson.

- Moje urodziny są dopiero za dwa tygodnie - zaprotestowała Lindsay.

- Możesz je sobie obchodzić za dwa tygodnie, ale wszyscy zebrani zdecydowali, że są dziś, bo dziś możemy ci zrobić niespodziankę, a za dwa tygodnie by jej nie było. Nic nie podejrzewałaś, co? Od samego początku tak planowaliśmy i dlatego wymyśliłam to przyjęcie dla pana Gardnera. Pan Gardner był tak uprzejmy, że zgodził się wziąć udział w naszym spisku.

Lindsay dopiero teraz zobaczyła Gibba. Siedział na oparciu fotela w głębi salonu i wydawał się nieco znudzony.

- I niemal wybuchnęłam śmiechem, kiedy zaproponowałam godniejsze przyjęcie - ciągnęła pani Johnson. Poprowadziła Lindsay do stołu, za którym stała Skye Oliver z cukierniczym nożem w ręku. Zabierała się właśnie do krojenia wielkiego tortu. Minę miała chyba

niecو kwaśną. Ciekawe, kiedy się dowiedziała, że przyjęcie wcale nie jest na cześć Gibba?

- A ty o tym wiedziałeś? - spytała Lindsay Dave'a.

- Nic nie wiedziałem. Chciałem iść z tobą do kina. A teraz to chyba kino przepadło.

- Możesz iść, jeśli chcesz, Dave...

- Ależ gdzieżbym cię zostawił samą, Lindsay. Ja należę do ludzi, którzy... jeśli już się z kimś umawiają, to na dobre i na złe... i nawet na takie przyjęcia.

Ten niewinny zarcik, czyniący aluzję do przysięgi ślubnej, zmieszał Lindsay. Zauważyła, że spojrzenie Skye jakby stężało.

Przyjęła ofiarowany jej kawałek tortu i odeszła w głąb salonu, postanawiając zapomnieć na chwilę o wszystkich swoich troskach.

Każdy przyniósł jej jakiś podarunek. Czasami były to rzeczy przemyślane, które mogły się przydać, czasami tylko mające na celu wywołanie wesołości. Od Gibba otrzymała certyfikat na kolację w restauracji „Pod Wierzbami”. Niech ludzie przypisują temu, jakie chcą znaczenie. Wreszcie pozostał tylko jeden nieodpakowany prezent. Pudło z kocem. Podeszła do Gibba i dała mu je. Nie miała zamiaru odnosić tego do sklepu.

Gibb rozwijał pudło wolno. On nigdy nie rozrywał papieru, którym było coś owinięte. Okropnie ją to denerwowało, gdyż zawsze chciała jak najszybciej wiedzieć, co się kryje pod opakowaniem. Skye stała obok, przyglądając się, i Lindsay czym prędzej zlustrowała jej lewą dłoń. Odetchnęła z ulgą, gdy zobaczyła, że na żadnym z palców

nic nie błyszczy. Nie mam się z czego cieszyć, pomyślała po chwili. Przecież to wcale nie oznacza, że Gibb żywi jakiekolwiek uczucia do innej osoby, na przykład do... Lindsay. Do diabła! Co ją obchodzi Gibb? Jej uczucia do niego także wygasły, a teraz odzywa się tylko tęsknota za tym, co utraciła.

Co obchodzi? Bardzo obchodzi. Nie ma sensu się okłamywać...

Niechętnie szła na to przyjęcie nie dlatego, że nie chciała zobaczyć Gibba, ale dlatego, że bała się tego, co odczuje, gdy go zobaczy.

Przed tygodniem było jej jeszcze łatwo wmawiać sobie, że jego obecność rozbudziła po prostu stare wspomnienia, które pójdą w niepamięć, gdy on wyjedzie. Później usiłowała się przekonywać, że ten wieczór po kolacji w jej mieszkaniu to tylko resztkę emocji, jakie odczuwa każda kobieta w obecności mężczyzny, z którym ją coś niegdyś łączyło. Bo miłość już przecież przed dziewięciu laty wygasła.

I była gotowa w to uwierzyć jeszcze dziś, do chwili kiedy nie stanęła z Gibbem twarzą w twarz. Teraz z podwójną siłą odczuwała magnetyzm tego mężczyzny. I potrzebę jego obecności w jej życiu. Taka była naga prawda.

Nagą prawdą było też, że go kocha. Zawsze go kochała, nigdy nie przestała. To wszystko, co zniszczyło ich małżeństwo, nie miało dość siły, by zniszczyć miłość.

Skye, spojrzawszy na kłującą w oczy narzutę, powiedziała słodko:

- Przypuszczam, że sama dobieierałaś kolory, prawda, Lindsay?
Jakże to miło z twojej strony, że dbasz o to, by Gibbowi było ciepło.

- No i kolory nie pozwolą mu nigdy zasnąć - dodał ktoś z obecnych.

- Tak, to bardzo miło z twojej strony, Lindsay - mruknął Gibb, jakby w pośpiechu zamykając pudło.

- Bardzo miło - powtórzyła zjadliwie Skye. - Ona chce ci stworzyć przytulny domowy nastrój. Według swego gustu oczywiście.

Lindsay miała zamiar odpowiedzieć jeszcze zjadliwiej, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Nie będzie się zniżała do poziomu Skye, przenigdy!

Ktoś zażartował, że skoro Gibb tak lubi myć samochód - co oczywiście już podpatrzono i o czym rozeszły się plotki - to powinien kazać otworzyć myjnię w fabryce akumulatorów. Ktoś inny dorzucił, że jest już kandydat na pracownika, gorliwy i nie żądający stawek związkowych - syn Lindsay. Kolejny żartowniś zauważył, że myjnia powinna poprawić bilans fabryki.

Gibb wysłuchiwał wszystkiego spokojnie, z dobrotliwym uśmiechem na ustach.

Skye, która poszła za Lindsay do bufetu, syknęła:

- Bardzo by ci to odpowiadało, prawda?

- Niby co?

- Gdyby ten twój Beep wkradł się w łaski Gibba. Dlatego wysłałaś syna do mieszkania Gibba.

- Beep odwiedzał Gibba? - spytała zaskoczona Lindsay.

- Nie udawaj niewiniątka. - Skye odstawiała z hałasem filiżankę po herbacie i odeszła.

Kiedy to Beep był u Gibba? Chyba nie w tym tygodniu? Przez cały czas jęczał, że nie ma Gibba, że nie przychodzi, że nie może się z nim spotkać. Czyli, że odwiedził go, czy też odwiedzał, przed zakazem opuszczania domu. Lindsay nie wiedziała, co o tym myśleć. Wróciła do kręgu gości, pośród których Gibb siedział z miną cierpiętника. Uśmiech dawno zniknął z jego twarzy. Odpowiadał właśnie na pytanie, ile jest prawdy w plotkach, że udziałowcy fabryki Armentrouta nie otrzymają w tym kwartale dywidendy.

- Plotek krąży wiele - przyznał. - Ale chwilowo nie mogę żadnej potwierdzić ani zdementować. Ogłoszę wszystko, gdy sporządzimy bilans.

Lindsay była poruszona tym, że Gibb nie dementuje plotek. To by świadczyło, że sytuacja jest katastrofalna. Zresztą już raz w rozmowie Gibb o tym napomknął.

Po wypowiedzi Gibba powstał szumek wśród gości. Parę osób zaczęło zadawać mu dalsze pytania, ale wywinął się ze

wszystkich ogólnymi stwierdzeniami, toteż po pewnym czasie rozmowy w salonie przeszły na inne tematy. Wtedy dopiero Lindsay podeszła do Gibba.

- Nie powinieneś tego robić - powiedziała. - Nie należy wstrzymywać dywidend...

- Niby dlaczego nie? Chociaż rozumiem. Z listy udziałowców wiem, że posiadasz spory pakiet akcji. I to jest pewno główne źródło twego dochodu...

- Nie myślałam o sobie - obruszyła się. Po części miał rację, polegała na dochodzie z akcji. Chociaż „Bukiet” przynosił drobny zysk, był on zbyt mały, by mogła z tego utrzymać dom i dziecko. A teraz liczyła, że za zamówioną partię towaru do sklepu zapłaci właśnie z dywidend. Martwym głosem dopowiedziała: - Obyś tu nigdy nie przyjeżdżał.

- Droga Lindsay, jestem tylko heroldem złych wieści, ale nie autorem. I chyba ci powiedziałem, że jest tylko jeden sposób szybkiego pozbycia się mnie z miasta.

- Pamiętam. Część sprzedać, a resztę złomować.

- Powiedziałaś to z ironią, ale taka jest prawda. I pamiętaj, że wtedy już nigdy nie będzie żadnej dywidendy. Jeśli posiadacze akcji chcą mieć jakąś szansę, to muszą mi dać czas na wypracowanie planu ratowania fabryki.

- Tak jakby panu zależało na ratowaniu fabryki! - odezwał się nazbyt głośno i niesłychanie zjadliwie Dave. - Zamykaj ją sobie, Gardner, bo im później, tym dla wszystkich gorzej. A przyjść to musi.

W salonie zapanowała grobowa cisza. Do Dave'a podeszła pani Johnson i kładąc mu rękę na ramieniu, powiedziała:

- To jest przyjęcie, synu, na którym wszyscy mają się bawić, a nie jakiś wiec. Nie życzę sobie podobnych scen w moim domu.

Na zabawę nikt jednak już nie miał większej ochoty i wkrótce salon opustoszał. Pozostała Lindsay, aby pomóc pani Johnson posprzątać, i Dave. Potem było już za późno, aby iść do kina. Lindsay zebrała do torby prezenty urodzinowe i wyszła razem z Dave'em.

- Przepraszam, że przeze mnie straciłeś kino - powiedziała usprawiedliwiająco.

- Co tam kino. Martwię się o fabrykę, a ten facet... ten Gardner... komplikuje mi życie. Mam zamiar ci się oświadczyć, ale muszę wiedzieć, jak stoję. W obecnej sytuacji, przy niepewności co do przyszłej pracy... Sama rozumiesz...

Cały dzień obfitował w zaskakujące wydarzenia, ale ta zapowiedź oświadczyn niemalże zaszokowała Lindsay.

- Nie mów o tym więcej, Dave. Proszę cię, nie mów.

- Oczywiście, że teraz nie będę, póki się nie zorientuję, co dalej. Ale posłuchaj... - Zatrzymał się i stanął naprzeciw niej. Musiał coś dostrzec w twarzy Lindsay, gdyż długo milczał, a potem zadał pytanie, które było zarazem stwierdzeniem faktu: - Zaczynam rozumieć. Ty go dalej kochasz?

Serce jej odpowiedziało, że tak, że kocha, kocha. Ale tylko serce.

- Nie wiem, Dave, nic nie wiem. Wszystko się tak skomplikowało... - Byli już pod domem Lindsay. - Wejdiesz na filiżankę kawy?

- Chyba nie. Do zobaczenia, Lindsay! - Obrócił się na pięcie i odszedł.

Przez chwilę za nim patrzyła, a potem poszła przez podwórko do kuchennych drzwi. Jedną ręką trzymała torbę z prezentami, palcami drugiej wystukiwała kod cyfrowego zamka, który niedawno zainstalowała, gdyż przedtem Beep nieustannie gubił klucze. Białą kartkę wetkniętą między futrynę a zamek zauważyła dopiero wtedy, gdy pofrunęła na ziemię w momencie otwierania drzwi.

W pierwszej chwili pomyślała, że to kartka od opiekunki, która zawiadamia, że wyszła z Beepem na spacer, wbrew zapowiedzi Lindsay, że Beepowi nie wolno wychodzić.

Ale wiadomość nie pochodziła od Heidi. Na kartce ułożone było parę zdań z liter wyciętych z tytułów gazetowych:

„Mamy szczeniaka. Żadnej policji albo pożałujecie. Macie czekać na instrukcje”.

Papier wypadł jej z rąk, nagły podmuch wiatru natychmiast go porwał. Lindsay pobiegła i zdołała kartkę schwycić. Przeczytała jeszcze raz. Dopiero teraz zauważyła, że wiadomość nie jest adresowana do niej, ale do „pana Gibba Gardnera”.

Porwano jej syna, lecz porywacze żądają okupu od Gibba.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Lindsay czuła, że kręci się jej w głowie. Ugięły się pod nią kolana i miała wrażenie, że za chwilę upadnie. Olbrzymim wysiłkiem woli wyprostowała się i parę razy głęboko odetchnęła.

To chyba jakiś głupi, chory żart. Beep jest na pewno na górze z Heidi. Prawdziwi porywacze nie pozostawiliby w jej drzwiach kartki adresowanej do Gibba. To musi być ktoś, kto widział Gibba i Beepa myjących razem samochód, ktoś, kto nie lubił Gibba, ponieważ ten wmieszał się w sprawy fabryki i zagraża interesom wielu mieszkańców Elmwood, a do tego musi to być ktoś, kto nie lubi Lindsay, ponieważ jest córką właściciela fabryki odpowiedzialnego za wezwanie Gibba. Ten ktoś postanowił zrobić głupi kawał, aby w ten sposób wyładować swoją złość.

Pędem pobiegła na górę, wykrzykując: Beep, Beep!

Nikt nie odpowiedział. A gdzie jest Heidi?

Heidi spała na kanapce przed włączonym telewizorem, na którego ekranie migotały jakieś obrazki. Obudziła się, przetarła oczy i spuściła nogi na ziemię.

- Gdzie jest Beep?! - krzyknęła Lindsay.
- Oj, przepraszam, pani Gardner. Musiałam się zdrzemnąć.
- Gdzie jest Beep?! - krzyknęła jeszcze głośniejszą Lindsay.
- Pewno w swoim pokoju...

Lindsay tam pobiegła. Czerwony latawiec wisiał na haczyku na drzwiach, spod poduszki wyzierała jaskrawa okładka komiksu, na

biurku leżały ułożone zeszyty i podręczniki szkolne, na półce stał ukochany wypchany słoń... Tylko Beepa nie było.

- Oj, nie ma go - stwierdziła Heidi, która przyczłapała tu za Lindsay. - A powinien był już wrócić...

- Wrócić? Skąd miał wrócić? - spytała ostro Lindsay, gwałtownie obracając się ku Heidi.

- Poszedł do sklepiku po paczkę gumy do żucia. I wtedy się zdrzemnąłem, bo film był taki nudny...

Przerażenie i wściekłość odbierały Lindsay zdolność jasnego myślenia.

- Powiedziałam przecież, że nie wolno mu wychodzić!

- Tego pani nie powiedziała! - zaprotestowała zaspana jeszcze Heidi. - Powiedziała pani, że nie wolno mu iść do parku, bo został ukarany, ale do sklepiku obok? Jemu zawsze wolno było chodzić w obrębie placu...

- Patrz, co zrobiłaś, dziewczyno! Miałaś się opiekować dzieckiem... - Lindsay wcisnęła jej do ręki list porywacza. - Patrz, co się stało z powodu twego niedbalstwa! Miałaś opiekować się Beepem, a nie oglądać telewizję i zasypiać!

- Ojej! - wybąkała Heidi po jego przeczytaniu. - Strasznie przepraszam, pani Gardner. Miałam wczoraj bardzo długą randkę i naprawdę byłam zmęczona i... - Heidi umilkła, jakby wreszcie zrozumiała, że plecie głupstwa i że Lindsay nawet ich nie słucha.

- Czy dawno Beep wyszedł po tę gumę?

Heidi spojrzała na zegarek.

- Z godzinę temu.

Lindsay chwyciła książkę telefoniczną i drżącymi palcami przerzucała kartki, szukając numeru telefonu Oliverów. Trzy razy wybierała na tarczy cyfry, nim wykreśliła właściwe.

Gdy odezwał się Gibb, rzuciła dwa słowa:

- Beep zniknął!

- Uciekł?

- Został porwany.

W słuchawce zapanowała długa cisza, a potem Gibb uspokajającym tonem powiedział:

- Lindsay, nie histeryzuj. W Elmwood nie porywa się dzieci. Znudził go areszt domowy i wyszedł sobie, żeby ci dać nauczkę.

- Beep by tego nie zrobił. A poza tym porywacz zostawił list...

Kolejna cisza, tym razem dłuższa.

- List jest adresowany do ciebie - uzupełniła.

- Zaraz przyjadę!

Gdy Gibb wpadł na górę, nadal stała przy telefonie. Z dłonią na odłożonej słuchawce, wpatrzona tępo w stół.

- Zostawiłaś drzwi otwarte i to... - Odstawił torbę z prezentami.

Lindsay jakby nie słyszała. Stała i dygotała. Gibb położył dłoń na jej ramieniu, a ona uważała za rzecz zupełnie naturalną wtulić się w jego ramiona.

- Opowiedz mi o wszystkim. - Głaskał jej włosy.

- To moja wina - zaczęła przez łzy. - Moja wina, że poprosiłam o opiekę Heidi, ponieważ moja stała opiekunka nie mogła dziś przyjść. Ale Heidi już przedtem opiekowała się Beepem i wszystko było w porządku...

- Lindsay, Lindsay, opanuj się. Wyrzuty sumienia zostaw na później, a teraz opowiedz o istocie sprawy. O porwaniu. Powiedziałaś, że porywacz zostawił list. Pokaż.

- Leży na stole. Kto może chcieć zrobić krzywdę mojemu dziecku...?

- Masz rację zadając takie pytanie: kto może chcieć zrobić krzywdę Benjaminowi. - Gibb odszukał list. - I dlaczego ten ktoś mnie w to wciąga?

- To musi być ktoś z fabryki. I to ma związek z twoją działalnością.

- Ktoś z fabryki, powiadasz. Może twój przyjaciel, Dave Jonas?

- Na pewno nie!

- Niby dlaczego nie? On ci pierwszy napomknął o groźbach pod moim adresem. Mógł to sam wymyślić. Jest przewodnikiem tych, którym nie odpowiadają zmiany w fabryce.

- Zapominasz, że Dave był dziś po południu ze mną.

- Narzuca się pytanie, dlaczego. Nie mieszka w obrębie Placu Sądowego.

- No nie - przyznała.

- Czyj to był pomysł, aby był na przyjęciu?

- Mój. Dave zadzwonił i zaproponował mi pójście do kina. Ponieważ wybierałam się właśnie na przyjęcie, zaproponowałam, żeby poszedł ze mną. A następnie mieliśmy iść do kina.

- To wszystko mogło być zaplanowane, żeby nikt go nie podejrzewał.

- Co ty masz przeciwko Dave'owi? - Rozzłościła ją podejrzliwość Gibba.

- Co mam przeciwko niemu? Kilka rzeczy. A ten jego dzisiejszy występ u pani Johnson? Nie był zanadto przyjazny.

- No i tym właśnie dostarczasz argumentów w obronie Dave'a. Gdyby był zamieszany w porwanie, to siedziałby cicho jak mysz pod miotłą.

- Może tak, a może nie. Miał już przecież alibi...

- Nie, Gibb. Jeśli był na tyle błyskotliwy, by zorganizować porwanie, to byłby równie mądry, by trzymać buzię na kłódkę właśnie po to, by nie zwracać na siebie uwagi.

- Nie jestem pewien. Ale nie czas na takie rozważania. - Przyjrzał się listowi leżącemu na stole. - To nie jest robota profesjonalnych porywaczy.

- Skąd ty to wiesz?

- Spójrz. Ileż tu było wycinania i przyklejania liter. Musi tu być masa odcisków palców.

- I moich też. Trzymałam ten papier. Potem go zgmiotłam. List był zatknięty między zamkiem a futryną. Potem porwał go wiatr. Dałam też go Heidi do przeczytania...

- Opowiedz mi wszystko od początku. Jak to mogło się stać, skoro była tu Heidi, a Beep miał nie opuszczać domu?
- Heidi pozwoliła mu pójść po gumę do żucia o dwa domy dalej.
- Pozwoliłam mu, bo jak mogłam przypuszczać, że coś się stanie... - Stojąca obok Heidi wybuchnęła płaczem.
- Zawiadomiłaś policję? - spytał Gibb, zwracając się do Lindsay.
- Nie. Przecież tu jest napisane, żeby tego nie robić.
- Och, Lindsay, Lindsay...! - Pokiwał głową.
- Chcę odzyskać Beepa. Zrób wszystko, co uważasz, byle wrócił.

Zrób wszystko, Gibb!

- Trzeba zadzwonić do szefa policji i niech on przeprowadzi dyskretne dochodzenie. I trzeba zadzwonić do Bena. Jeśli nie czujesz się na siłach, ja to zrobię...

- Dobrze, zrób! Rób wszystko, co trzeba! - Znów zaczęła dygotać. Odwróciła się i poszła do pokoju Beepa.

Gdy po pewnym czasie Gibb do niej dołączył, stała, trzymając wypchanego słonia.

- Szef policji zakłada podsłuch na twoim telefonie i umieszcza obserwatora na wieży budynku sądu. I gdy tylko wyda potrzebne dyspozycje, przyjdzie po list porywacza. Ojciec jest już w drodze.

Tymczasem ja rozejrzę się dokoła budynku.

- Po co? Przecież tu go nie ukryli.
- Niemniej warto obejrzeć teren.
- Rób wszystko, co uważasz za słuszne - powiedziała przez łyzy. - Żeby tylko Beepowi nic się nie stało. O Boże, Boże...!

- Najpierw jednak obejrzę sobie pokój Beepa.

Poszedł to zrobić, zostawiając Lindsay przyciskającą do piersi słońca.

Gibb długo przyglądał się wiszącemu na drzwiach latawcowi. Jakże odległe wydawało się owo popołudnie, kiedy bawił się nim na placu z Beepem. Czuł się wówczas bardzo szczęśliwy - był w towarzystwie dziecka, które mogło być jego własnym synem...

Synem... No tak, porywacz z pewnością doszedł do tego samego wniosku i liczy na to, że Gibb będzie gotów zapłacić okup. O to chodziło! A nie o związek Gibba z fabryką Bena Armentrouta. Lindsay w głębi duszy pewnie też tak myśli,

Rozglądał się po pokoju. Na każdym kroku widać było ślady ręki Lindsay. Postacie z filmów rysunkowych jako motyw dekoracji na zasłonach okiennych i na prześcieradłach, ładnie oprawiona mapa na ścianie, półki z książkami w kolorowych okładkach. Raj małego chłopczyka!

Czym synem jest Beep? Pewnie wszyscy myślą, że to jego dziecko. Może pomocą w odnalezieniu Beepa będzie fakt, że większość mieszkańców Elmwood uważa, że zna ojca dziecka lub podejrzewa, kto nim może być. Tylko niewielu może wiedzieć, że Gibb nim nie jest. Kto może przypuszczać, że to z tytułu ojcostwa Gibb żywi jakieś uczucia do chłopca? Otóż to. Obecnie sytuacja się zmieniła, połowa miasteczka widziała, jak Gibb i Beep myją wspólnie samochód na podwórku koło domu Lindsay. A druga połowa obserwowała, jak owego popołudnia puszczali latawca.

Nie, ta droga prowadzi donikąd...

Gdy Gibb wychodził z pokoju Beepa, wzrok jego padł na oprawiony w ramkę za szkłem śliniaczek niemowlęcia, wiszący tuż nad stołem. Na śliniaczku wyhaftowane były wszystkie dane dotyczące urodzenia dziecka: imię i nazwisko, waga i długość noworodka, no i oczywiście data urodzenia. I nagle cały misternie zbudowany przez Gibba domek z kart runął.

Lindsay skłamała!

Beep nie obchodził ósmej rocznicy urodzin przed dwoma miesiącami, jak mu to oświadczyła. Beep wkrótce skończy dziewięć lat! Wniosek z tego jasny: Beep nie jest owocem przypadkowego romansu w kilka miesięcy po rozwodzie. Beep jest jego własnym synem!

Lindsay siedziała w kuchni z twarzą ukrytą w dłoniach.

- Lindsay!

Ton, jakim to powiedział, zmusił ją do podniesienia głowy.

- Usiądź wygodniej w fotelu. I przestań się dręczyć, wszystko będzie dobrze - powiedział łagodniej, widząc jej spłoszone, przerażone spojrzenie.

- Szefa policji jeszcze nie ma? - spytała.

- Zaraz się zjawi. Musi postępować ostrożnie, żeby porywacz niczego się nie domyślił. Bo przecież może obserwować dom. Ale nic się nie martw...

- Tobie dobrze tak mówić, ale ja jestem matką.

Już miał dodać, że on jest ojcem, kiedy usłyszeli zatrzymujący się przed domem samochód. Lindsay podbiegła do okna.

- Szef policji! - krzyknęła. - Ale to bardzo źle, że tak ostentacyjnie tu przyjechał, mimo że prywatnym samochodem. Wszyscy go tu znają. I porywacz...

- Na to nie ma rady. Nie będziemy siedzieli z założonymi rękami. Elmwood to małe miasteczko. Beepa nie porwał obcy. To jest chyba pewne. A wśród swoich policja ma doskonałe rozeznanie. Myślę, że bardzo szybko załatwi sprawę. A poza tym, właściwie to nie sądzę, by ktoś obserwował budynek.

Szef policji wyjął z wozu wielką donicę z bujną rośliną i wolnym krokiem poszedł w kierunku podwórka, po drodze zatrzymując się dłużej przy fontannie. Stwarzał wrażenie bez troskiego człowieka, który przyjechał z prywatną wizytą. Wszedł do mieszkania na piętrze, przywitał się i odstawił donicę na stół.

- To jest to, co ci moja żona obiecała. Co niby obiecała. Chciałem mieć po prostu widoczny pretekst do złożenia wizyty. Straszna kobieta, ta moja żona, że każe mi ganiać w niedzielę i rozwozić prezenty, prawda? Ale skoro właśnie obchodziłaś urodziny...

- Spoważniał. - No dobrze, a teraz do rzeczy. Zaraz przyjedzie technik z laboratorium, żeby zbadać tę kartkę z wymuszeniem okupu.

Wszystkich ludzi postawiliśmy na nogi. Zawiadomiliśmy FBI. Gdzie jest ten list porywacza?

- Niestety, chyba za często był dotykany przez tutaj obecnych. - Gibb wskazał ręką na stół, gdzie leżała pomięta kartka.

- Trudno się dziwić. Mało kto ma u nas do czynienia z szantażami i okupami. Kto tam pamięta o odciskach palców. Ale może uda się wyszukać te kilka właściwych. I szybko też ustalimy czasopisma i gazety, z których wycięto litery. - Spojrzał bacznie na Lindsay i Gibba. - Od jak dawna jesteście rozwiedzeni? - spytał.

- A co to ma wspólnego z porwaniem Beepa? - wykrzyknęła Lindsay.

- Od dziewięciu lat - odpowiedział Gibb.

- Procesowaliście się o prawa rodzicielskie?

- Oczywiście, że nie - odparła szybko Lindsay i pokrywając zmieszanie, szybko dodała: - I Gibb nie miałby najmniejszego powodu porywać Beepa, jeśli to miał pan na myśli...

- A może myślę, że ty to zrobiłaś? Schowałaś go, bo pan Gardner chciał go ze sobą zabrać. Chociaż to jest mało prawdopodobne, ale w tego rodzaju sprawach badamy zawsze wszystkie powiązania i powikłania rodzinne.

Lindsay była poruszona i zła. Czy Gibb też dlatego obszedł całe mieszkanie i przeszukał zakamarki wokół budynku, że podejrzewa, iż gdzieś ukryła własnego syna?

- Niech pan przestanie opowiadać głupstwa i zajmie się odszukaniem mojego dziecka! - powiedziała zdenerwowana.

- Daj spokój, Lindsay. - Gibb położył dłoń na jej ramieniu. - Szef ma rację. Aspekt rodzinny jest dla policji ważnym elementem. Od jego sprawdzenia zawsze się zaczyna poszukiwanie sprawcy czy sprawców porwania. Policja musi też sprawdzić, czy żadne z nas nie

miało wspólników, kochanków czy kogoś takiego. I trzeba ustalić, co porywający miał na celu. Okup czy inne korzyści.

Szef policji pilnie przysłuchiwał się Gibbowi, przenosząc bystre spojrzenie z jednego eks-małżonka na drugiego.

- Macie jakieś podejrzenia co do osoby?

- Mógłbym podać parę nazwisk organizatorów akcji protestacyjnej przeciwko moim rzekomym zakusom na fabrykę - mruknął Gibb.

- Zaraz zapiszę. Niedługo rozpoczniemy aktywne poszukiwania chłopca w terenie. Kończy się właśnie ściąganie odpowiednich ludzi. Mimo że chcemy to zrobić dyskretnie, ludzie jednak będą widoczni. Nie wiem, może powiemy, że istnieje podejrzenie wtargnięcia w obszar miasteczka jakiegoś zarażonego zwierzęcia.

- Powstanie panika - mruknął Gibb.

- E, nie. Wymyślimy chorobę niegroźną dla ludzi. Robimy tę listę, panie Gardner.

Obaj mężczyźni usiedli za kuchennym stołem obok donicy. Nagle Lindsay się zachwiała i gdyby Gibb natychmiast się nie zerwał i nie podtrzymał jej, to upadłaby na ziemię. Usadowiona w fotelu, ponownie ujęła głowę w dłonie.

- Jak chłopiec był ubrany? - spytał policjant.

- Dżinsy, czarny podkoszulek ze szkolnym emblematem wyhaftowanym na przodzie - odparła, nie podnosząc głowy.

- Przydałaby mi się jego ostatnia fotografia - powiedział szef.

Dźwignęła się. Gibb chciał jej pomóc, ale wyrwała rękę.

- Nic mi nie będzie. Nie zemdleję, obiecuję. Zaraz przyniosę fotografię...

Pozwolili jej pójść samej. Po chwili wróciła z paroma zdjęciami i wręczyła je szefowi policji, który miał już listę nazwisk od Gibba i szykował się do wyjścia. Pożegnał ich skinieniem głowy i szybko wyszedł.

Gibb stał w oknie zapatrzony na podwórze, jakby nieświadomy obecności Lindsay. W zamyśleniu wpatrywała się w jego plecy, a potem podniosła się i ruszyła w stronę drzwi. Wtedy odezwał się bardzo spokojnym i zrównoważonym głosem:

- W pokoju Beepa wisi śliniaczek. Z tego, co jest na nim wyhaftowane, wynika, że urodził się w osiem miesięcy po moim wyjeździe z Elmwood.

- Porozmawiaj z miasteczkowymi plotkarkami, a powiedzą ci, że miałam romans i że dlatego zażądałam rozwodu.

- Nie, moja droga. Potem mogłaś mieć niejeden romans, ale na tyle cię znam, że wiem, iż za moimi plecami nie romansowałaś. Wiedziałbym o tym. Dlaczego mnie okłamywałaś? Dlaczego mi powiedziałaś, że to nie jest moje dziecko?

Długo się wahała, nim odparła:

- Bo go nie chciałam.

Obrócił się gwałtownie w jej stronę.

- Masz zupełną rację. Nie chciałem. I otwarcie to mówiłem. Ale mi nie wierzyłaś. Świadomie, za moimi plecami to uknułaś.

Postanowiłaś zająć w ciążę wbrew moim życzeniom i zaszłaś, wydając na świat dziecko, którego nie chciałem...

- Bo myślałam... Wielu mężczyzn mówi, że nie lubi dzieci, a potem, gdy zostają ojcami, są uradowani. Pomyślałam sobie, że jak je zobaczysz, to też zmienisz zdanie.

- I bez omówienia ze mną sprawy...

- Tej sprawy nie chciałeś nigdy omawiać. Mówiłeś, że twoja decyzja nie podlega dyskusji.

Trzasnęły drzwi wejściowe, potem usłyszeli ciężki tupot na schodach i do mieszkania wpadł zdyszany Ben Armentrout. Podbiegł do córki i wziął ją w ramiona.

- Lindsay... Kochanie...!

- Tym razem, Ben, nie uda ci się nikogo opłacić, żeby pozbyć się problemu - powiedział Gibb. Obrócił się na pięcie i wyszedł do saloniku.

Zaraz za nim wybiegła Heidi. Bąknęła coś i już jej nie było.

Ben opadł ciężko na krzesło przy kuchennym stole i ukrył twarz w dłoniach. Po chwili wstał i poszedł do kuchni zaparzyć kawę. Lindsay czatowała obok telefonu. Potem wzięła na ręce kota, który zamruczał z zadowolenia i Lindsay przyjęła to jako znak, że wszystko będzie dobrze. Wolno poszła do saloniku zapytać Gibba, czy się napije kawy. Przecząco potrząsnął głową. Stał przy oknie i wpatrywał się w wieżę gmachu sądu. Gibb też bardzo cierpi, pomyślała Lindsay. W pewnym sensie cierpi może nawet więcej niż ona. Porwano mu syna, o którego istnieniu przez te wszystkie lata nie miał pojęcia.

- Tamtego dnia, kiedy ty składałeś z Beepem latawca, ja układałam na nowo wszystkie wspomnienia - powiedziała cichutko. Myślała, że nie usłyszał, lecz po długiej chwili obrócił się i powiedział:

- Jak ty jednak mało rozumiesz, Lindsay.

- Powiedz mi, czego nie rozumiem. - Potrząsnął tylko głową, więc ciągnęła dalej: - Nie miałam wówczas racji, Gibb. Miałam męża, miałam prześliczne gniazdko rodzinne, miałam życie ułożone tak, jak tego chciałam. W tym gniazdku brakowało mi tylko dziecka...

- Którego ja ci odmawiałem.

- Tak. I myślałam, że jesteś po prostu egoistą, odmawiając mi tego, czego tak bardzo pragnęłam. Myślałam, że ja wiem lepiej... Ale mimo wszystko nie żałuję. Przez całe te osiem lat miałam kochającego mnie małego chłopca, z którym dzielę swoje życie. A co ty masz, Gibb? - Odeszła i zatrzymała się dopiero u szczytu schodów.

- Idę dołączyć do poszukujących Beepa. Chcę tam być, kiedy go znajdą. - Zeszła na dół, zapominając, że niesie kota.

- Poczekaj, idę z tobą! - zawołał i wybiegł za nią.

- Nie potrzeba!

- Bardzo potrzeba. Przy telefonie zostanie Ben. Poczekaj, Lindsay, kochanie...

Stała i spojrzała w górę na schody. Gibb zbiegł na dół.

- Żałuję bardzo wielu rzeczy - powiedział, otaczając ją ramieniem.

I nagle z jej oczu popłynęły łzy. Chlipała cichutko, wtulając głowę w jego ramię. Poczwała się nadzwyczaj dobrze, bezpiecznie... Łzy staczały się po jej policzkach, ale były to już łzy wyzwolenia z udręki. I łzy nadziei.

- Gibb, och, Gibb...!

Jego pocałunek był łagodny i czuły, a gdy nań zareagowała także pocałunkiem, przytulił ją jeszcze mocniej. Wtedy kot, niemal zmiażdżony w ich uścisku, wyrwał się i pobiegł w kierunku składziku pod schodami.

- Idziemy, Lindsay! - powiedział Gibb. - Idziemy na poszukiwanie naszego syna!

W tym momencie usłyszeli głośny szelest między pudłami w schowku i miauczenie Spatsa, a potem drapanie pazurami w karton.

Lindsay i Gibb spojrzeli w kierunku, z którego dochodził hałas. Spats stał w bojowej pozycji, naprężony, z wyprostowanym ogonem.

- Poluje na myszy? - zdziwił się Gibb.

- Możliwe. Tylko że tu nigdy nie było myszy. Między kartonami znowu coś się poruszyło.

- Ale mi mysz! - powiedział Gibb, rozgarniając pudła i ciągnąc za czyjś czarny rękaw.

Lindsay serce skoczyło do gardła. Spod schodów wyłonił się szelmowsko uśmiechnięty Beep.

- Nie musiałeś mnie ciągnąć, Gibb. Sam już wychodziłem. Miałem dość i byłem głodny. Zapomniałem zabrać kanapki. I bardzo tu zimno...

- Jak mogłeś, Beep? Jak mogłeś mi to zrobić! Czy ty wiesz, jak się wszyscy o ciebie martwimy? - zawołała Lindsay.

- Ta wiadomość was przestraszyła, co? Widziałem taką historię w jednym filmie. I w tym filmie porywacze też zostawili taką kartkę z wyciętymi z gazety literami i było w niej tak samo napisane. Tylko że tamto, to było prawdziwe porwanie. Strasznie fajna historia.

Opowiedzieć wam?

- Ale dlaczego to zrobiłeś, Beep?

- Bo ty i Gibb tak się ciągle kłóciliście! Więc sobie pomyślałem, że jak się schowam, to zejdziecie się razem, żeby mnie poszukać. A jak będziecie szukali, to może ty polubisz Gibba, mamó, a on ciebie. I udało mi się, udało! - Zaczął podskakiwać. - Widziałem, jak go całowałaś. Kto się nie lubi, to się nie całuje, prawda, Gibb?

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Jak śmiałeś tak przestraszyć matkę, Benjaminie! - ryknął na chłopca Gibb.

Beep skamieniał i zbladł. Zaczął się jąkać:

- Ja... ja chyba...

Lindsay próbowała interweniować.

- Gibb, może mu powiemy...?

Gibb całkowicie ją zignorował i ciągnął dalej bardzo głośno oburzonym tonem:

- Nie masz żadnego usprawiedliwienia! - Otworzył drzwi i stanąwszy na progu, rzucił za siebie: - Teraz idę odszukać szefa policji i tych wszystkich ludzi, którzy przetrząsają całą okolicę. Przepraszam każdego z osobna, nawet gdyby ci to miało zająć całą noc! - Gibb wyszedł, trzasnąwszy za sobą drzwiami.

Lindsay uklękła na ziemi naprzeciwko syna. Nie wiedziała, czy ma go przytulić, czy sprawić mu lanie. Wybrała trzecie wyjście - perorę:

- Benjaminie Patryku Gardnerze, jeszcze nigdy w swoim życiu nie wpadłeś w takie tarapaty, w jakie wpakowałeś się teraz. Postawiłeś na nogi całe miasto. Przeraziłeś rodziców...

- Rodziców? - zdziwił się Beep.

- Nie przerywaj! Tak, oboje rodziców. Masz areszt domowy, a do tego dojdzie chyba zamknięcie w celi i to tylko o chlebie i wodzie.

- Kiedy ja byłem posłuszny, mamó. Powiedziałaś, że nie wolno mi wychodzić z domu i nie wyszedłem. Ja tylko tak powiedziałem Heidi, że wychodzę po gumę. Nie mogłem wyjść po gumę, bo nie miałem pieniędzy.

- To Beep, Beep! - Usłyszeli radosny głos Bena. Starszy pan zbiegł ze schodów i chwycił malca w ramiona. - Nic ci nie jest, nic ci nie zrobili, kochanie? Wszystko w porządku?

- Nic nie jest w porządku, tato! W tej chwili, za tym twoim „kochaniem” ugania się połowa mieszkańców Elmwood, FBI rozsyła fakсы na cały kraj - poinformowała sucho Lindsay - a to twoje „kochanie” spokojnie siedziało sobie pod schodami. Jestem pewna, że

szeft policji dobrze mu dołoży. Następnie ja wezmę sprawę w swoje ręce i zamknę w pokoju o chlebie i wodzie. I będzie tam siedział, póki mu broda nie wyrośnie.

Beepowi zatrzęsała się bródka i raz krótko załkał. Znowu stał się malutkim chłopczykiem, który wypłakuje swój ból i potrzebuje ciepła matczynego łona.

- Więc Gibb jest naprawdę moim tatą? - wyjąkał przez łzy.

- Tak, moje kochanie, jest twoim tatą. - Tuliła go i gładziła po główce pełna radości, że ma znowu po temu możliwość. A tak się przecież bała, że już nigdy go nie zobaczy... W myślach składała dziękczynne modły, że los był dla niej taki łaskawy.

Gdy wrócił Gibb, siedziała nadal na ziemi z główką dziecka przy piersiach.

- Ukrywanie się w ramionach matki nie ocali cię przed karą, Benjaminie! - powiedział ostro Gibb. - Szeft policji ściągnął z terenu swoich ludzi. Benjamin musi do nich iść i przeprosić. Już zaraz teraz! Jeśli potrafi, to niech się im wytłumaczy ze swojego postępuku.

- Pójdę z nim - oświadczyła Lindsay. Gibb nie protestował.

Na podwórku za domem było już pełno ludzi.

Wielu sąsiadów i przyjaciół, ale większości Lindsay w ogóle nie znała - tych w mundurach policyjnych, straży ogniowej i służb miejskich oraz wielu po cywilnemu. Musiała ich być setka. Beep zrobił okrągłe oczy.

- I oni wszyscy mnie szukali? - szepnął.

- Ciebie, ciebie, szanowny kolego! - odparł Gibb. - Widzisz, ilu miłym ludziom zepsułeś niedzielne popołudnie?

Weszli w tłum. Beep kolejno do każdego podchodził i mamrotał słowa przeprosin. Przez cały czas czuł na ramieniu dłoń ojca. Potem wszyscy się rozeszli. Pozostał tylko szef policji, który powiedział:

- No i widzicie, moi drodzy, że miałem rację. W takich wypadkach trzeba zaczynać od poszperania w sprawach rodzinnych.

Stojący obok Ben Armentrout odchrząknął i powiedział do Lindsay i Gibba:

- Może wy dwoje pójdziecie sobie teraz do domu, bo pewno macie wiele spraw do omówienia, a ja wezmę ze sobą Beepa...

- O nie, tato! Ja cię znam. Z radości, że Beep jest zdrow i cały, zabierzesz go zaraz na lody. Nic z tego. Beep zostaje.

- O lodach co prawda nie myślałem, ale rozumiem. - Ben podrapał się po głowie. - Pa, do widzenia.

Beep trochę się ociągał, idąc na pięterko nad sklepem, ale Lindsay i Gibb popędzali go od tyłu.

- A teraz, Beep, idź do swego pokoju - polecił Gibb, gdy znaleźli się w saloniku. - Matka z pewnością ma ci do powiedzenia parę słów, ale przedtem ja muszę z nią porozmawiać.

Beep wyszedł ze spuszczoną głową. Gdy zamknęli za nim drzwi, Gibb powiedział:

- Przepraszam cię, Lindsay, jeśli uważasz, że zbyt ingerowałem w sprawę, ale sytuacja...

- Nic więcej nie mów - przerwała. - Świetnie sobie radziłeś jako... ojciec. Masz ojcowski instynkt i... talent. - Uśmiechnęła się blado, bacznie spoglądając mu w oczy.

- Przestań mną manipulować, Lindsay. Odzywają się w tobie stare nawyki.

- Wcale nie próbuję tobą manipulować. To był szczerzy komplement.

- Nieważne. - Machnął lekceważąco ręką. - Najważniejsze, że twój syn jest zdrowy i cały.

- Mój syn? Kiedy zniknął, mówiłeś coś o naszym synu. I zachowywałeś się jak prawdziwy ojciec.

- A teraz odzyskałem rozum i zdrowy rozsądek. Nic się nie zmieniło, więc nie wmawiaj mi, że jestem dobrym ojcem...

- Ooo! - Była zawiedziona i zgnębiona.

- Podejmę odpowiednie kroki, abyś otrzymywała finansowe wsparcie na wychowanie dziecka...

- Niepotrzebne mi są twoje pieniądze - warknęła ze złością. - I będę raczej głodować, niż przyjmę od ciebie choćby centa.

- Jesteś niemądra. Mój adwokat wkrótce się z tobą skontaktuje, aby omówić szczegóły.

- Nie potrzebujemy adwokatów, żeby uzgodnić rodzicielskie wizyty. Sami możemy...

- Nie mówiłem o żadnych wizytach, tylko o pieniądzach na wychowanie Beepa.

- I nie chcesz odwiedzać syna? - Była zdumiona.

- Mój tryb życia nie bardzo mi na to pozwoli. - Tłumaczenie było kulawe.

- Wszystko teraz rozumiem.

- Tu nie ma nic do rozumienia. Po prostu nic się nie zmieniło. A na pierwszym miejscu nadal pozostaje niezaprzeczalnie fakt, że to ty mnie nie chciałaś. Chciałaś mieć dziecko, a nie mnie!

- To było dawno - szepnęła, ale Gibb już tego nie słyszał, gdyż po prostu obrócił się na pięcie i zszedł ze schodów.

Lindsay była zgnębiona. Już go nigdy nie zobaczy! A miała nadzieję. To drugie rozczarowanie wydawało się jej jeszcze gorsze niż tamto sprzed dziewięciu lat.

I przez te dziewięć lat miała chyba rację, usiłując wykreślić Gibba ze swego życia i nie mówić mu o dziecku. Chroniła tym zarówno siebie, jak i syna. Ale samo stwierdzenie, że wówczas dokonała właściwego wyboru i podjęła słuszną decyzję, nie było jednak wielką pociechą. Ponadto zdawała sobie sprawę z jeszcze jednego: zataiła przed Gibbem, że poczęła mu syna, uważając, iż dziecko nie naprawi ich stosunków, a może nawet pogorszyć. Jednak potem wymyśliła sobie teorię, w którą bardzo chciała wierzyć, że gdyby wówczas nie doszło do rozwodu i Gibb zobaczył po urodzeniu swoje dziecko, toby go nie opuścił. Jej również nie. A teraz poznał Beepę i mimo to odszedł. Mit prysnął.

Otrzymała cios, który zniszczył zarówno stare złudzenia, jak i nowe. Nowe zrodziły się w ciągu minionych paru tygodni, gdy obserwowała stosunek Gibba do Beepę. I do niej. Ukryte, głęboko

zakorzenione nadzieje i marzenia nabrały realnych kształtów, a teraz rozpląły się. Gibb poznał Beepa, polubił go, poznał prawdę i mimo to z zimną krwią odszedł. Nie obchodził go Beep, nie obchodziła Lindsay. Nie miał dla nich nawet maleńkiego kącika w swoim sercu i życiu.

Jeśli o nią chodzi, była gotowa przyjąć jego werdykt, ale Beep... Będzie to dla niego okropnym przeżyciem. Czy Gibb nie zdaje sobie sprawy, że może dziecku złamać życie, spacyć jego charakter? Nie mieć w ogóle ojca, to zupełnie co innego, niż odzyskać go i dowiedzieć się, że ojciec nie chce syna. Gibb tego nie rozumie, podobnie jak nie zrozumiał, że rany, jakie zadali sobie przed dziewięciu laty, choć były głębokie, pozostawiały nietkniętą tkankę równie głębokiej miłości.

Tak, ona da sobie radę, ale Beep...

Dni mijały, a Gibb się nie pokazywał. Beep wydawał się przygaszony, ale, co w pewnym sensie jeszcze bardziej martwiło Lindsay, ściśle wykonywał wszystkie polecenia i skrupulatnie, bez przypominania, wypełniał obowiązki. To było do niego niepodobne. Któregoś kolejnego wieczoru nawet z własnej inicjatywy posprzątał po kolacji. Zaniepokojona jego zachowaniem, od razu zmierzyła mu gorączkę. Była niemal rozczarowaną gdy termometr pokazał trzydzieści sześć i sześć. Na wysoką temperaturę znalazłaby lekarstwo, na ranę w psychice i tęsknotę za ojcem nie miała żadnego leku.

Beep w dalszym ciągu odbywał karę domowego aresztu, co nie poprawiało humorów matki i syna. Lindsay chwilami myślała, że taką karę boleśniej odczuwa rodzic niż dziecko.

Dokończyła przygotowywanie kolacji i zawołała Beepa, by nakrył do stołu.

- Zaraz przyjdzie dziadek - powiedziała.

Wyjmując talerze z kredensu, Beep zapytał:

- Dlaczego Gibb... dlaczego tata nie przyszedł mnie odwiedzić?

- Nie wiem, kochanie. Ja go też nie widziałam.

- Czy on jest ciągle na mnie zły za to, że się sam porwałem?

- Mnie się zdaje, że on w ogóle nie był na ciebie zły. Martwił się i był bardzo tobą rozczarowany.

- Nie wyszło mi, co, mamo?

Od odpowiedzi ocaliło ją przyjscie Bena dźwigającego pod pachą pokaźną papierową torbę.

- Mam nadzieję, że to nie jest prezent dla Beepa, bo tak ci żal biedaczka w domowym areszcie... - powitała ojca.

Ben wyjął z torby dwie butelki. Jedną szampana, drugą gazowanego soku winogronowego.

- Będziemy dziś świętować. Zmażcie więc z twarzy ponure miny.

- A cóż to mamy świętować? - zaintrygowała się Lindsay.

- Nowe wcielenie Armentrout Industries.

Lindsay wyjęła kieliszki do szampana. Ben otworzył obie butelki, nalał Beepowi soku, sobie i Lindsay perlistego wina i dopiero wtedy dokładnie wyjaśnił:

- Podpisaliśmy dziś kontrakt na produkcję akumulatora nowej generacji. Zupełnie inna technologia, rewolucyjna. Pojawimy się z nią pierwsi na rynku. Akumulator ma większą moc, jest dużo trwalszy, pozwoli na poważne zwiększenie zasięgu pojazdów napędzanych elektrycznie, co je uczyni konkurencyjnymi wobec benzynowych...

- A więc Gibbowi się udało! - wykrzyknęła Lindsay.

- Tak, udało się. A to wszystko razem oznacza, moja prześliczna córeczko, że po jakimś czasie znów dywidendy pójdą w górę i będziemy zarabiać pieniądze...

I że Gibb w najbliższym czasie wyjedzie, pomyślała Lindsay. Przed paroma tygodniami była pewna, że będzie z niecierpliwością na ten dzień czekała. Dziś bała się. Sama nie wiedziała, co myśleć. Może poczuje się lepiej po jego wyjeździe, może nowa rana w sercu szybko się zagoi? Ale Beep...

- Nie pijesz szampana, córeczko?

- Gratulacje, tato! - Podniosła kieliszek i upiła łyczek.

Zapadło krępujące milczenie. Nawet Beep, który po raz pierwszy od tygodnia ożywił się i słuchał z zainteresowaniem wyjaśnień dziadka na temat nowych akumulatorów, teraz zmarkotniał. Pierwszy odezwał się Ben:

- Myślałem, że ty i Gibb zejdziecie się...

- Do tego potrzeba, aby dwoje chciało. - Lindsay wzruszyła ramionami.

- Gibb to dobry człowiek...

- Tak. I chyba spłacił już ten dług, jaki zaciągnął przed dziewięć laty, biorąc za mnie odprawę, czy też zaciągając pożyczkę...

- Ooo, już dawno spłacił. Zwrócił pieniądze co do centa, chociaż wcale tego nie oczekiwałem. Pojęcia wtedy nie miałem, skąd je wziął. Teraz wiem, że było to wkrótce po powstaniu Triangle.

- Nic mi o tym nigdy nie powiedziałeś.

- Gibb prosił, żebym ci nie mówił. Przysłał czek z liścikiem, w którym wyraził życzenie, bym zachował absolutną dyskrecję,

- Jeśli teraz mój tata nie ma już roboty w fabryce, to może będzie miał czas, żeby mnie odwiedzić - powiedział Beep, jakby mówił do siebie.

Lindsay zagryzła wargi. Dotychczas nie powiedziała nic Beepowi, że Gibb nie ma zamiaru więcej go widzieć. Prawda była zbyt okrutna, a Beep zbyt delikatnym dzieckiem.

- Lindsay... - zaczął ojciec i znacząco spojrzał na wnuka.

- Idź umyć ręce, Beep. Zaraz podaję do stołu. Gdy mały wyszedł, Ben spytał:

- Od tamtego dnia Gibb tu nie zaglądał?

- Niestety, nie. - Smutno potrząsnęła głową.

- Musisz wiedzieć jeszcze jedną rzecz. Gibb dysponuje teraz wiodącym pakietem akcji...

- O Boże...! - Jednocześnie pojawiła się w niej iskierka nadziei. Skoro Gibb jest współwłaścicielem, to nie wyjedzie na zawsze.

Będzie tu przyjeżdżał, a Beep będzie mógł spotykać ojca.

- Uważałem, że muszę to zrobić. Bez niego nie byłoby fabryki. On uzyskał ten nowy kontrakt. Pomyślałem więc sobie, że jest okazja, aby go związać z Elmwood, skoro ma tu syna... Gibb jutro wyjeżdża, ale sądziłem, że znajdzie czas, by jeszcze Beepa odwiedzić...

W tym momencie Beep wpadł do kuchni niesłuchanie podniecony.

- Słuchaj, mamó, a czy tata lubi...?

- Nie teraz, Benjaminie! - Powiedziała to bardziej ostrym tonem, niż zamierzała.

- Przecież mi powiedziałaś, że nie będziesz się nigdy gniewać, kiedy zapytam o tatę...? - Zaskoczony Beep zatrzymał się w pół kroku.

- Masz rację, przepraszam cię, synku. Nie gniewam się. Tylko teraz nie czas...

- Ale powiedziałaś, że zawsze mogę pytać. A teraz strasznie na mnie krzyknęłaś. Mój tata mnie nienawidzi i moja mama... - Mały był bliski płaczu. Natychmiast zatrzęsała mu się bródka.

- Na miłość boską, Beep, nikt cię nie nienawidzi! - Lindsay miała już wszystkiego dość.

Przez cały czas Ben zachowywał dyplomatyczne milczenie, tylko jakby się zgarbił.

- Ja wiem, że tata mnie nienawidzi. Bo inaczej by przyszedł. Wszyscy mnie nienawidzą! - Wybiegł do swego pokoju i po chwili całym domem zatrzęsło mocne trzaśnięcie drzwi.

Lindsay policzyła do dziesięciu, potem do dwudziestu. Postanowiła zachować spokój. I zostawić także Beepa w spokoju.

- Zjemy sami, tato - powiedziała, rozkładając na talerze ryż i gotowanego łososia. Jednakże po trzech kęsach, odsunęła krzesło, wstała i poszła do Beepa. W jego pokoju było ciemno, a chłopiec leżał na brzuchu w poprzek łóżka.

- Kochanie - szepnęła.

Nic nie odpowiedział i nie ruszył się. Usiadła obok i pogłaskała go po główce. Nadal nie reagował.

- Jest mi niezmiernie przykro, że nie masz tu swojego taty.

Czasami sprawy między rodzicami dziecka niezbyt dobrze się układają...

- Dlaczego?

W tym jednym słowie tkwiło milion pytań, a każde z nich kładło się wielkim ciężarem na sercu Lindsay.

- Nie potrafię ci na to odpowiedzieć, kochanie. Ale ty i ja mamy siebie. I zawsze będziemy mieli.

Przez chwilę myślała, że jej nie usłyszał, ale w końcu chlipnął raz i drugi i wtulił głowę w jej ramię. Obficie skapujące łzy moczyły materiał jej bluzki. Po paru minutach zasnął. Przykryła go kołderką i wróciła do Bena.

- Uspokoił się?

- Tak, zasnął. Czy możesz trochę tu zostać? Mam coś do załatwienia.

Ben skinął głową, Szybko włożyła sweter i zbiegła na dół, obawiając się, że jeśli dłużej będzie się zastanawiać, to zabraknie jej odwagi do zrobienia tego, co zamierzała.

Po kilku minutach naciskała dzwonek do mieszkania Oliverów.

Gibb otworzył dopiero po paru dzwonekach. W rękę trzymał kilka koszul i wydawał się niezadowolony z przerwania mu czynności pakowania.

- Ojciec powiedział, że jutro wyjeżdżasz - powiedziała bez powitania.

- Tak. I w związku z tym nie mam czasu.

- To nie zajmie ci dużo czasu. Przepraszam za najście, ale obiecałeś dać coś dla naszej Fundacji. Akurat mamy teraz duże potrzeby.

Przez chwilę myślała, że zatrzaśnie jej drzwi przed nosem, jednakże się zreflektował.

- Zapomniałem. Przepraszam. Wejdz. Zaraz wypiszę ci czek.

Poszła za nim do salonu. Zauważyła otwartą teczkę na stole pod oknem, a obok już zapakowany komputer. Jedna walizka była już spakowana, a druga - otwarta - leżała na kanapie. Gibb podszedł do teczki i wyjął książeczkę czekową.

- Słyszałam o nowym kontrakcie dla fabryki - zagaiła rozmowę.

- Ojciec jest bardzo zadowolony.

- Jeśli Ben nie zmarnuje tej szansy, to będzie miał mnóstwo pracy i... pieniędzy. Nie musisz się bać o przyszłość Fundacji. - Podał jej wypisany czek. - Czy to wszystko?

- Nie. Beep rozpacza. Brakuje mu ojca. Przed chwilą zasnął we łzach. Chce mieć z tobą kontakt.

- To niemożliwe.

- Dlaczego? On cię po prostu uwielbia. - Ogarnęła ją furia. Zaczęła prawie krzyczeć: - Diabli wiedzą, dlaczego on za tobą aż tak przepada! Mówił mi, że jest pewien, że go lubisz. Sama to zresztą zauważyłam. I wszystko się urwało, z chwilą gdy się dowiedziałeś, że jest twoim synem. To, co robisz, jest podłe. Daj chłopcu szansę!

- Nie mogę, Lindsay.

Słowa „nie mogę” i ton ją zaskoczyły.

- Nie możesz? Nie wyjdę stąd, póki mi nie wytłumaczysz, dlaczego nie możesz.

- Będę musiał cię siłą usunąć...

- Tylko spróbuj!

Nie odpowiedział, więc kuła żelazo, póki gorące:

- Zrozum, Gibb, muszę mu coś powiedzieć. Jakoś wytłumaczyć tę nienormalną sytuację. Jak to? Ojciec nie chce więcej widzieć własnego syna? Beep cały czas teraz myśli, że go nienawidzisz. Tak mi powiedział

Gibb zaklął pod nosem.

Instykt podpowiedział Lindsay, że coś się stało. Coś się w Gibbie poruszyło. Wyczuwała wyraźną różnicę jego zachowania

przed minutą i obecnie. Jakby złagodniał i stał się bardziej przystępny. Wstrzymała oddech, czekając na jego następne słowa.

- Jakie są twoje najwcześniejsze wspomnienia? - spytał nagle.

- Dotyczące ciebie?

- Nie, nie. Z dzieciństwa.

- Matka, która przyszła mnie pocałować przed pójściem na bal.

Wydawało mi się, że jest ubrana jak księżniczka. Dlaczego o to pytasz?

- Moje pierwsze wspomnienie to lanie. Już nie pamiętam za co, może za nic. Ale pamiętam uderzenia skórzanym pasem i moje próby wywinięcia się. Chyba miałem wtedy trzy lata. To z pewnością nie było moje pierwsze lanie, ale pierwsze, które zachowałem w pamięci.

Siedziała jak skamieniała, patrząc w jego oczy utkwione w nią, ale zapatrzone we własną przeszłość. Zaczął opowiadać. O tym, że był bity i że widział własną matkę bitą przez korowód mężczyzn przewijających się przez jej życie. Mówił o siniakach, podbitych oczach, nawet połamanych kościach. Lista krzywd była bardzo długa.

Lindsay chciała go dotknąć, przytulić, ukoić, ale zdawała sobie sprawę, że w tej chwili, kiedy się wreszcie otworzył i tkwił wspomnieniami w okropnej przeszłości, nie potrafiłaby doń dotrzeć. Mogła tylko czekać, aż cały ból wysączy się z niego niby ropa z rany. Wtedy rana będzie mogła zacząć się goić. I wtedy będzie można mu pomóc.

Skończył swoją opowieść dopiero po półgodzinie, ale cofnął dłoń, kiedy Lindsay usiłowała jej dotknąć.

- Nie wiem, sam nie wiem, dlaczego ci to wszystko opowiedziałem. Jesteś pierwszą osobą, której się zwierzyłem.

- Było ci to bardzo potrzebne - powiedziała miękko Lindsay.

- Nie powtarzaj nic Beepowi. Nie powinien tego wiedzieć. Teraz chyba zrozumiesz, dlaczego nie mogę ryzykować. Może któregoś dnia Beep pojmie, że nie chodzi o niego. Że nie ma tu jego winy. Wina jest wyłącznie moja. Od ciebie zależy, by to zrozumiał.

Lindsay wyprostowała się i ponownie przystąpiła do perswazji i ataku:

- Przecież twoje rozumowanie jest absurdalne. Nie chcesz znać własnego syna dlatego, że ty jako dziecko zostałeś sponiewierany i bardzo skrzywdzony? Gdzie tu logika?

- Logika tkwi w moim lęku. Boję się pozostawać sam na sam z Beepem dłużej niż kilka minut. Boję się trawiącego mnie i rozsadzającego gniewu. Boję się własnego wybuchu. Nie słyszałaś, że katowani w dzieciństwie mężczyźni stają się często katami własnych dzieci?

- Nie wszyscy.

- Zbyt wielu. Chcesz w imieniu Beepa zaryzykować? Raz ja zaryzykowałem, łącząc się z tobą. Przysiągłem sobie, że potrafię stłumić w sobie to, co we mnie tkwiło. Gniew, wielki gniew na cały ten świat.

- I udało ci się.

- Nie. Nie udało się, ale nie o to chodzi. Nie powinienem był wystawiać ciebie na niebezpieczeństwo mojego gniewu. Nie zrobię tego po raz drugi... a zwłaszcza dziecku.

- Wolisz więc osierocić własnego syna! Przecież on już wie, że jesteś jego ojcem! Sam to odkryłeś i przez ciebie się o tym dowiedział - rzuciła mu w twarz oskarżenie. - Wiesz, co ci powiem? Jesteś tchórzem.

- Możesz sobie myśleć, co chcesz.

- Boisz się zostać prawdziwym, dobrym ojcem? Wiem, że wolałbyś, aby Beep się nigdy nie urodził. Ale się urodził i to jest faktem. Co mam z nim teraz zrobić, żeby zapewnić tobie błogi wewnętrzny spokój? Wyprowadzić dziecko na podwórko i zastrzelić? - Przestała nad sobą panować. Oczy jej ciskały błyskawice. - Tchórz! - rzuciła raz jeszcze.

- Lindsay, proszę cię, przestań! To, co mówisz, dobija mnie.

Teraz już nie potrafiła przestać. Parła naprzód, nie przebierając w słowach:

- Dobrze, doskonale. Więc coś ci powiem: uważasz, że zawiodłeś jako mąż i na pewno zawiodłbyś jako ojciec. Powiem Beepowi, że powinien być szczęśliwy, że nie chcesz mieć z nim nic do czynienia. Słyszałeś? Powinien być szczęśliwy i dziękować Bogu za ocalenie od ojca, który by go katował!

Po tym wybuchu nastąpiła przerażająca cisza.

- Masz całkowitą rację - odezwał się po dłuższej chwili Gibb. Wydawał się całkowicie wyczerpany. - Przez cały czas to właśnie chciałem ci powiedzieć. Czy mogłabyś już sobie pójść?

- Nie! - odparła twardo.

Podjęła ryzyko i nie wolno jej było wycofywać się w połowie drogi. Nie wolno dać się pokonać. Musi nacierać dalej. Cała trzęsła się z emocji. Na jedną kartę postawiła wszystko. Własne życie i przyszłość swego dziecka.

- Czy nie widzisz, Gibb, że właśnie przed chwilą mogłeś udowodnić to, do czego chciałeś mnie przekonać? Jeśli za słowa, które rzuciłam ci w twarz, nie uderzyłeś mnie, to znaczy, że nic nigdy nie wyprowadzi cię z równowagi. Przyznaj, że nawet ci nie przyszło do głowy uderzyć mnie?

- No nie, ale... Do czego ty właściwie zmierzasz, Lindsay? Co chcesz osiągnąć?

- Kiedy Beep zrobił swój głupi kawał z porwaniem, miałeś z pewnością ochotę zbić go na kwaśne jabłko. Jeśli ja miałam na to ochotę, to i ty musiałeś ją mieć. Zamiast tego kazałeś mu zrobić to, co na twoje polecenie zrobił: wszystkich przeprosić. Nie ukarałeś go, kierując się ślełą emocją, ale narzuciłeś drogę właściwego postępowania. To był twój odruch warunkowy wypływający z miłości i opanowania, a nie ze ślepego gniewu. Czasami sytuacja wymaga dużego opanowania, aby być wyrozumiałym i łagodnym. Jest to o wiele trudniejsze, niż być brutalnym. Ty sam siebie nie znasz. Ja cię

znam znacznie lepiej. Od samego początku wiedziałam, że jeśli byś miał dziecko, to byś je pokochał. Jest w tobie jakaś łagodność, która może uczynić z ciebie wspaniałego ojca. Przed dziewięciu laty zaryzykowałam. Myślałam, że przez pewien czas będziesz wściekły, a potem pokochasz maleństwo. Dziś zaryzykowałam po raz drugi, mając nadzieję, że może tym razem mi się uda... - Lindsay zamilkła, jakby wyczerpała wszystkie siły. Z oczu popłynęły jej łzy, które wśród pochlipywań ocierała grzbietem dłoni.

- I wtedy, kiedy zaszłaś w ciążę, nie miałaś odwagi mi powiedzieć?

- Miałam odwagę, chciałam ci powiedzieć. Właśnie tego dnia, kiedy mieliśmy tę wielką kłótnię, po której nastąpił rozwód.

- Kłótnię z powodu twojej rozrzutności. Ten horrendalny rachunek za meble...

- Wiesz, co to były za meble? Umeblowanie dziecięcego pokoju. Miałam ci właśnie wszystko powiedzieć, ale zacząłeś mnie oskarżać...

- Powiedziałem ci stanowczo i to nieraz, że nie chcę dziecka. Powinnaś była się temu podporządkować.

- Wiem, że popełniłam błąd, ale nie ten, o którym myślisz. Powinnam cię była spytać, tak jak dziś, dlaczego nie chcesz mieć dziecka. Powinnam była skłonić cię, abyś się otworzył przede mną. A mogłabym to zrobić tylko wówczas, gdybym ci okazała swoją miłość, a nie gniew. Nie powinnam była wpadać w szał. Ale byłam taka młoda i głupia... Nic nie rozumiałam... I kiedy ode mnie odszedłeś, została mi przynajmniej częśćka ciebie. Nasze dziecko...

Gibb przez dłuższą chwilę milczał, a potem cicho powiedział:

- Beep to wspaniały chłopiec. Ja mógłbym być do niego podobny, gdybym w dzieciństwie zaznał trochę miłości.

- Na zaznanie miłości nigdy nie jest za późno, Gibb. Beep chce cię kochać i chce mieć cię blisko, aby to okazywać.

Gibb podparł brodę dłonią. W jego spojrzeniu widać było walkę, jaką toczył sam ze sobą.

- Uważałem zawsze, aby nie zbliżyć się z żadnym dzieckiem. Ale Beep to chłopak, do którego trudno się nie zbliżyć... Musiałem się z tym pogodzić. I dlatego trzymanie się od niego z daleka przez cały ubiegły tydzień było niemal ponad moje siły. Jest podobny do ciebie. - Po raz pierwszy w czasie tej rozmowy uśmiechnął się, choć nieco smętnie.

- Od ciebie też trudno trzymać się z daleka. Nie miałem najmniejszego zamiaru zakochiwać się w tobie. Ani wówczas, ani... teraz.

- Ani teraz? - Myślała, że źle słyszy.

- Ani teraz. - Odsunął z jej czoła kosmyk włosów. Dłoń mu drżała. - Zawiodłem cię wówczas, kochanie. I zawiodłem cię przed tygodniem, kiedy odwróciłem się plecami i usiłowałem przekonać ciebie i siebie, że nic się nie zmieniło. I właściwie nie zasługuję na kolejną szansę.

Otworzyła usta, aby coś powiedzieć, ale stwierdziła, że ze wzruszenia nie potrafi dobrać głosu.

- Powiedziałaś, że Beep chce mnie kochać. A ty, Lindsay? - spytał.

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć i nie pamiętała, czy W ogóle coś odpowiedziała. Istotne było to, że w chwilę później była w jego ramionach. Tulona i całowana. I sama tuliła go i całowała.

Potem Gibb skrył twarz w jej włosach i wyszeptał:

- Kocham cię ponad życie, Lindsay! Zawsze kochałem. Przez te wszystkie lata samotności też. I zawsze byłem tym zdumiony, ponieważ nie zamierzałem nigdy do nikogo się zbliżyć. Nie chciałem znaleźć się w niczyjej mocy. Ale ty, dlaczego...?

- Od samego początku wiedziałam, że trafiłam na dobrego człowieka...

- I jesteś pewna swoich uczuć?

- Bardzo pewna.

- Wobec tego muszę spytać Bena, czy jego oferta jest nadal aktualna.

- Żebyś został dyrektorem fabryki?

- Ben ci o tym powiedział?

- Domyśliłam się. Byłoby nienaturalne, gdyby ci tego nie zaproponował.

- Sprzedam moje udziały w Triangle i... ustatkuję się na łonie rodziny.

- Chodź teraz ze mną do domu odwiedzić naszego syna! - zdecydowała Lindsay. - Dość słów. Czas na czyny.

W urodzinowy poranek, wkrótce po wschodzie słońca, obudził Lindsay chichot Beepa. Zaraz potem odezwał się baryton Gibba. Odgłosy te zabrzmiały w uszach Lindsay jak najcudowniejsza muzyka, wywołując promienny uśmiech. Jest w domu z mężem i synem. Budzi się cudowny nowy dzień, pełen radości życia. Czego jeszcze może życzyć sobie kobieta w swoje urodziny?

Właśnie wstawała z łóżka, kiedy otworzyły się drzwi sypialni. Pierwszy wszedł Beep, głośno protestując:

- Nie możesz jeszcze wstawać, mamó. Niesiemy ci urodzinowe śniadanie do łóżka!

Tuż za Beepem stał Gibb, niosąc tacę. I uśmiechał się.

Lindsay zabiło mocno serce. Zawsze tak było, kiedy się uśmiechał.

Posłusznie położyła się z powrotem. Gibb postawił tacę na jej kolanach i usiadł na skraju łóżka. Beep usadowił się po drugiej stronie u boku matki.

Na serwecie rozłożonej na tacy leżały gorące obwarzanki i kilka plasterków sera, obok stał spodeczek z dżemem, szklanka soku pomarańczowego i filiżanka kawy. Na małym talerzyku pośrodku tacy leżało kwadratowe pudełeczko, które już raz widziała w rękach Gibba, gdy je kupował. Myślała wówczas, że to jest pierścienek zaręczynowy dla Skye.

- Twój prezent urodzinowy - wyjaśnił z dumą Beep, wskazując palcem pudełko. - Sam na to zarobiłem. To znaczy na część prezentu, bo za resztę zapłacili... tata i dziadek, więc prezent jest właściwie od

nas trzech. - Beep wymówił słowo „tata” z lekkim wahaniem, jakby ciągle nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu, że odzyskał ojca.

- Więc ty to wtedy kupowałeś w imieniu Beepa? - spytała.

- No bo kto miał kupić, kiedy ja miałem areszt domowy - odparł Beep.

I to tłumaczyło również sens podsłuchanej rozmowy, kiedy to Beep prosił Gibba o przysługę, a Gibb się wymawiał.

Otworzyła pudełeczko: na delikatnym złotym łańcuszku wisiał filigranowy ornament z liter składających się na słowo KOCHAM, a w literę O wprawiony był piękny brylant.

Lindsay była wzruszona. Nie samym prezentem, ale tym, że wszyscy spiskowali, by jej sprawić radość. Beep, który wpadł na pomysł, Gibb, który dokonywał zakupu na prośbę Beepa, a podejrzewała, że i ojciec, który z pewnością wymyślił dokupienie brylantu i oprawienie go w literkę O, w ten sposób dokładając się do prezentu. Ten brylant to na pewno musiał być jego pomysł.

Nie miała słów, którymi mogłaby wyrazić, co czuje. Pocałowała więc czule synka w policzek, a następnie objęła męża i zwarła się z nim w gorącym pocałunku.

- Ojej, jeśli znowu zaczynacie z tym całowaniem, to ja nie będę czekał, aż obwarzanki zrobią się zimne. - I Beep z łobuzerskim uśmiechem zabrał się do pałaszowania śniadania.